


Rok VI.
Kraków, dnia 30 czerwca 1912 r.
Nr. 26.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

**Przedpłata**: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

# Quo vadis, Domine?

Gdy Boska nauka Zbawiciela zaczęła wnikać w serca tysięcy wiernych, synowie szatana, jak zgraja zaciekłych drapieżców, starali się ją zgnębić i zdusić w zaraniu, aby nie wyłoniła się na światło dzienne. Kościół katolicki ówczesny przedstawia jedno pasmo cierpień, uwieńczone śmiercią męczeńską tysiąca świętych. Krew wiernych polała się obficie i wydała plon stokrotny.

Mimo wszystko gromadzili się wierni potajemnie w podziemiach i tam w głębi katakomb rozbrzmiewały akordy pieśni do Pana nad Pany. Jedno z najsroższych prześladowań było za cesarza rzymskiego Nerona w początku drugiej połowy pierwszego wieku. Ale Kościół przetrwał mężnie i to prześladowanie, bo miał podporę i otuchę w Apostołach św. Piotrze i Pawle.

Ci dwaj niestrudzeni nigdy mężowie, wlewali pociechę w serca wiernych, a słowa ich były balzamem kojącym wszelkie rany duchowe. Chociaż prześladowcy wyszukiwali istnie piekielne tortury i katusze dla chrześcian; potęga słowa Bożego, głoszonego przez świętych Piotra i Pawła, druzgotała wszystkie zapędy, a okrucieństwa szatańskie, mimo że porywały tysiące wiernych i wrzucały w objęcia śmierci, jednak rozbijały się sromotnie o opokę kościoła. Dlatego też wrogowie Kościała wszelkimi sposobami starali się dostać w swe ręce świętego Piotra i Pawła w nadziei, że gdy Ich stracą, cały Kościół runie, rozprószy się owczarnia, gdy pasterzy zabraknie.

Dlatego wierni błagali św. Piotra, aby oddalił się na czas jakiś z Rzymu, póki ręka Wszechmocnego prześladowców okrutnych nie dosięgnie. Błagali Go, aby ratował życie tak potrzebne dla Kościoła Bożego, a nie dozwolił tryumfować okrutnikom, którzy czychali na Jego życie. —

Ze łzami w oczach i sercem pełnem żalu opuszczał św. Apostoł Rzym wspaniały, gdzie rzesze wiernych oczekiwały śmierci. Lecz oto nagle na drodze Appijskiej ukazuje Mu się postać Zbawiciela, a gdy Piotr św. zapytał:

— »Dokąd idziesz Panie?« — cichy, rzewny głos Zbawiciela przeniknął do Jego serca:

— »Idę do Rzymu, aby mnie ukrzyżowano drugi raz, ponieważ Ty opuszczasz lud mój!«

Długo leżał Piotr św. u stóp Zbawiciela, a gdy powstał, zawrócił z powrotem do miasta, gdzie niebawem dostał się w ręce oprawców.

Wieczorem 29 czerwca 67 r. wyprowadzono św. Piotra w otoczeniu rzeszy wiernych ku wzgórzom Watykańskim na miejsce stracenia. A on szedł cichy, spokojny, z tryumfem, jak książe Kościoła z modlitwą na ustach. Modlił się pasterz za swoje owieczki, za cały świat, za wiernych i niewiernych. Kiedy sprawcy mieli go z szat obnażyć, on, modląc się, wzniósł prawicę w górę i po raz ostatni w godzinie śmierci błogosławił całemu światu »Urbi et orbi«.

Tego samego dnia stracono także i św. Pawła na innem miejscu zwanem Aquae Salviae. Świętego Piotra ukrzyżowano głową na dół, a św. Pawła, jako obywatela rzymskiego, ścięto mieczem.

Lecz niedługo Sprawiedliwość Boża dosięgła okrutnika. W 68 r. zginął sromotnie Neron, a lud rzymski przeklął pamięć tyrana. A znak zwycięztwa powiewa ze wzgórz Watykańskich i szle pokrzepienie i błogosławieństwo »Urbi et orbi«.

Prześladowcy Kościoła Chrystusowego dawno w proch się obrócili a Kościół święty trwa niewzruszony po dzień dzisiejszy i trwać będzie na wieki, choć i obecnie ma tysiące wrogów ukrytych i otwartych. Żadna moc piekielna Kościoła świętego nie zwycięży, gdyż tak to przepowiedział sam Pan Jezus Chrystus.

*Ant. St. Bassara.*

# PRZEZ POGROM.

Opowieść z Wielkiej Wojny w 1812 r.

RODZIAŁ VI.

## Nowy przyjaciel.

W tym czasie, gdy Walek z Zaklıką ratowali chorą z morza płomieni w Moskwie, Marysia Konopkówna podążała na wschód, ufna w pomoc Bożą, że przecież swojego umiłowanego odszukać zdoła. A gdy go odszuka, będzie szła śladami stóp jego i z oczu nie spuści, póki Bóg jakoś losami ich nie rozporządzi.

Było to gdzieś w ostatnich dniach lipca, gdy Marysia opuściła dom rodzicielski. Słońce dzień cały słało na ziemię swe ogniste promienie, rozpalało ją, a wypijając z niej wilgoć wszelaką, napawało powietrze taką suchością, że od niej spiekłe wargi pękały i zraszały się krwią czerwoną. Marysia szła przeważnie boso, gdyż żal jej było butów, aby się nie zniszczyły, bo jakżeby stanęła przed ukochanym, który w służbie u Napoleona w towarzystwie wielkich panów być musiał. Wyśmianoby ją niechybnie a i Walek wstydzićby się musiał takiej narzeczonej.

No, bo ona przecież narzeczoną Walka zwać się może. On jej powiedział, że ją miłuje — ona, choć nie powiedziała, ale także, od czasu zwłaszcza jego zniknienia, ma w sobie taką moc kochania, że sama nie wie, jak ono się w niej pomieścić może. Zresztą, jakby nie miała do Walka prawa, toby za nim nie szła, boć ona przecie nie żadna goniaczka, ale uczciwa dziewczyna.

Nagle jakiś ziąb przeszedł po jej ciele i drżeć poczęła, jakby w febrze. Minął on jednak szybko a od serca poczęły się rozchodzić wrzące strumienie krwi po całem ciele i roznosić po niem żar a ogień, który przemienił się na twarzy w szkarłatny prawie rumieniec.

— Jezus, Marya! — wyszeptały nagle rozgorączkowane usta Marysi. — A gdyby tak było?

Wyrzekłszy to, przycisnęła drobne piąstki do rozognionych skroni, nogi jej się ugięły, aż przysiadła na ziemi, przy drodze.

A myśl, gdy się raz do mózgu dostanie, to toczy go, jak ten czerw drzewny najmocniejsze drzewo. Próżno dziewczyna stara się odpędzić złe myśli od siebie — wracają one ciągle i rodzą w sercu takie zwątpienie, że z oczu łzy płynąć poczynają.

— Prawda — szepce coś w główce dziewczęcia — najładniejsza byłaś w całej Wolicy, ale tylko w Wolicy, bo jużby może w Siemiechowie, Zabratówce, Zaryciu i w innych wsiach wiele kraśniejszych znalazł... A cóż dopiero mówić o szerokim świecie, gdzie muszą być dziewki na schwał!? Nie braknie ich tam chyba i przy Napoleonie. Walek rozmiłuje się w której a na biedną Marysię ani będzie chciał wspojrzeć.

— A niechta! a niechta — powtarza Maryś, ale przez to jeszcze większe kochanie do Walka w jej serce wstępuje. Boć już tak jest na świecie — im co dalej od nas, droższem ono się nam i piękniejszem wydaje. Im nam trudniej coś posiąść, tem bardziej tego pożądamy.

— A ja takoj pójdę! — mówi Marysia z silnem postanowieniem. — Odpędzi mnie, jak psiaka, to legnę gdzie na ziemi i zamrę, a nie wrócę do Wolicy na śmiech ludzki. Na złość zamrę!...

Powziąwszy takie postanowienie, podnosi się Marysia z ziemi i idzie dzień za dniem, aby bliżej, aby prędzej do umiłowanego. Drobne jej stopy kaleczą przydrożne kamienie, szarpie od czasu do czasu ostrężyna lub inny jaki cierń nielitościwy, a ona idzie i idzie, na nic nie zważając.

Ach, gdybyż na świecie były tylko te ciernie, które z stóp krew wypuszczają, ale stokroć ostrzejszy ten cierń, który w sercu utkwi. Cierpienie ciała ból tylko sprawia, cierpienia serca są męczarnią, ale często rozkoszną męczarnią. Przeto nieraz z rozmysłem pogłębiamy te rany, rozkoszujemy się niemi i bawimy się niemi, jak dziecię płonącą głownią przy stogu siana.

Tak samo czyniła i Marysia. Nie dopuszczała do siebie myśli weselszych, ale bezustanie powtarzała odtąd te, które jej serce krwawiły, które duszę kirem pokrywały. Mimo tego, a może dlatego właśnie szła coraz szybciej, aby jak najprędzej, albo kres mękom swoim położyć, albo oddać się takiej boleści, na którą ludzie nie posiadają lekarstwa.

Szła ciągle na wschód, zbaczając lekko ku północy, aby wejść w ślady armii Napoleona. Minęła Brześć Litewski, Słuck, nie wyliczając dziesiątek wsi i mniejszych miasteczek, aż dotarła do Mohilewa, miasta leżącego nad Dnieprem. Ile dni minęło jej w podróży, ani nie siliła się liczyć, bo tyle się już tego nazbierało, że trud daremny, aby to wszystko zrachować. Musiało jednak tego już dużo się nazbierać, gdyż sił jej coraz bardziej ubywało. I nic dziwnego, bo ani jedzenie nie było takie, jak u rodziców w domu, ani spanie, bo niejeden pies w Wolicy lepsze miał niechybnie.

Za grosz, jaki miała zaoszczędzony na nowe korale, kupowała chleb w przydrożnych gospodach a na okrasę zbierała w lesie czarne jagody lub karminowe poziomki. Grosza jednak ubywało z dniem każdym tak, że go wkrótce zabrakło a całe jej pożywienie stanowiły odtąd soczyste strąki grochu, strącone wichrem owoce, lub pare marchewek zerwanych z cudzych zagonów. Robiła sobie wymówki, iż rusza bezprawnie cudzą własność, ale mimo to wolała w ten sposób największy głód zaspokajać, aniżeli prosić o kawałek chleba. Bo i gdzieżby — ona, gospodarska córka, miała prosić o kęs chleba, by żebrak jaki?

Na spanie nie narzekała wiele, bo choć najczęściej kamień przydrożny był wsparciem pod jej głowę, to zato ptactwo wszelakiego rodzaju takie cudne śpiewki do snu jej nuciło, że chyba i królowie lepszych śpiewaków nie posiadają. Jeno długo tych śpiewań słuchać nie mogła, bo tylko układła się i główkę wsparła na jakiem wzniesieniu, sen kleił jej powieki i obejmował ją całą.

Zasypiała a w snach swych widziała codziennie Walka całego w zbroi złocistej, na złocistym rumaku. Wokół niego stali cudo rycerze, piękni, by anioły, choć on z nich był najpiękniejszy. A wtedy przy boku jego stawała Marysia, boso, w zniszczonej i obszarganej przez rosy poranne i pył dzienny spodniczynie, wychudła i blada od głodu i nocy nieprzespanych. Lecz, gdy się dotknęła szaty jego złocistej, znikał strój lichy, purpura i szkarłat zjawiały się w miejsce wieśniaczych szatek, na licach zaś wykwitał rumieniec szczęścia i wesela. Na widok ten rycerze podkręcali wąsa i zdawali się pytać:

— Marysia to Konopkówna, czy zgoła księżniczka jaka?...

A Walek stał dumny i zdawał się mówić:

— Mojać ona Marysia najmilejsza!

Nagle znikało wszystko! Ziąb poranny budził dziewczynę z marzeń i spędzał sen z jej powiek. Wstawszy, witała dzień modlitwą i szła dalej, choć

już nie tak szybko, jak poprzednio, gdyż sił jej brakować zaczynało.

Aż nareszcze trudy i niewygody pokonały mło dość dziewczęcą. Gdzieś przy końcu września, gdy cały dzień nic w ustach nie miała, a jeno wodą zwilżała spieczone wargi, kolana ugięły się pod nią, a ona zemdlona osunęła się na ziemię...

* * *

Jak długo tam leżała, niewiedziała, bo gdy otwarła ponownie oczy, znalazła się w jakiejś niebardzo czystej izbie, przepełnionej zaduchem i wyziewami. Leżała na łóżku, nakrytem białem prześcieradłem, z poduszką pod głową. Nakryciem jej był jakiś stary kocyk, czy też chustka, która kilka pokoleń niechybnie widziała. W drugim kącie izby na ziemi, na barłogu, spało dwoje dzieci — poza tem nikogo więcej w izbie nie było. Rozglądnęła się po niej, a chcąc się, jak zwykle, pomodlić, zau ważyła, iż na ścianach nie było wcale obrazów. Przez niewielkie okienko wpadały do izby promienie słońca, niezbyt grzejące, co świadczyło, że dzień niedawno się rozpoczął.

Chciała sobie przypomnieć, kiedy i jak tu przyszła, ale mimo najlepszych chęci, myśl odmawiała jej posłuszeństwa. Darmo tarła dłonią biedną główkę — przypomnieć nie mogła, zwłaszcza, że głód poczynał jej dokuczać nadobre. Próbowała się podnieść, aby pójść i wyszukać kogoś, ktoby jej to wszystko wytłomaczył, ale podniósłszy się ledwie, opadła napowrót bezsilna.

Wtem wzrok jej padł na naczynie stojące na ławce przy łóżku.

— Woda! — szepnęła i uchwyciła garnuszek, aby zawartość jego wychylić jak najspieszniej.

Spotkała ją jednak bardzo przyjemna niespo dzienka, gdyż garnuszek był pełen mleka a obok niego duży kawał białego chleba. Czemprędzej więc wypiła mleko, zjadła chleb i znów osunęła się na łóżko, zasypiając snem kamiennym.

Spała tak jeszcze dzień cały i noc następną, aż dopiero na drugi dzień otwarła oczy, gdy już słońce wzniosło się wysoko na niebie. Przy niej na ławce siedział mężczyzna w sile wieku a obok niego żyd w jarmułce i hałacie.

— Chwała bądź Panu! — wyrzekł siedzący mężczyzna. — Patrzysz kociaku, a my myśleli, że z tobą już kaput!...

Zwróciła Marysia wzrok na mówiącego, jakby mu dziękować chciała za miłosierdzie jej okazane, ale on przerwał:

— Leż kociaku i ani mi się waż ruszyć. Dopiero pół duszy w ciebie wlazło, jak żółtko w pisklę, łacno ją wytrzepać.

A choć Marysia czuła już nieco mocy w sobie, aby wstać i iść dalej, ale ten nieznany opiekun jej na krok nie odstępował i, gdy tylko Marysia oczy otwierała, wciąż powtarzał:

— Leż kociaku!...

I tak Marysia leżała dzień jeden i drugi, aż to leżenie w tydzień się przeciągnęło a jej nietylko wstać ale i mówić było wzbronione. Dopiero po tygodniu nieznajomy rzekł:

— Wiem ja, że babski język milczenia długo strzymać nie może, lecz ciągle lata jak kołowrotek, ale dla ciebie pokuta taka była konieczna, abyś sił nabyła. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo wszelkie minęło, pofolguj sobie i powiadaj coś o sobie.

Gdy Marysi nie wolno było mówić, chętnie byłaby mówiła, teraz jednak nie wiedziała ani co, ani jak ma rzec. Pomagał jej przygodny opiekun pytaniami a Marysia poczęła się spowiadać przed nim, by przed ojcem rodzonym. Ale jako niewprawna do snucia długich opowieści, urywała często, mieszała się i znów trzeba było pytania jakiego, aby mogła snuć dalej wątek swych zdarzeń.

Mężczyzna wąsy a żyd pejsy podkręcali co chwilę, patrząc z podziwem na biedną wiejską dziewczynę, która tyle mocy znalazła w sobie. Często nie mogli jej zrozumieć, a właściwie wierzyć się im nie chciało, aby to była prosta dziewczyna. W umysły ich poczynało się wkradać podejrzenie, że Marysia to przebrana jakaś szlachcianka, która kryje swe pochodzenie pod sukienką wieśniaczą. Podejrzenie to tembardziej zdawało się prawdopodobne, bo wiadomem im było, iż wśród włościan w zamęźciu przeważnie odgrywa rolę ilość mórg i dostatki a o miłość mało kto się pyta. Proste jednak a niewyszukane słowa Marysi osłabiały ich podejrzenia.

— Jakem Sługocki, — dalibóg mociumdzieju — przerwał mężczyzna opowiadanie Marysi — jeśli, kociaku, szczerą i rzetelną prawdę mówisz, to zuch z ciebie dziewczyna i szkodaby było pozwolić ci iść na pewne zatracenie.

— Jakto? — pytała Marysia — przecież nie idę na zatracenie, ale do Walka, który przybyciem mem ucieszy się i krzywdy nijakiej zrobić mi nie da!

— Bogać tam, dziecino! — przeczył Sługocki — Ale nim dojdziesz do Walka, niejedna przygoda spotkać cię może, przed którą uchronić się nie zdołasz. Napoleon przetrzepał wprawdzie skórę Moskalom, ale ich nie starł zupełnie; tyle więc tego tałatajstwa włóczy się po całej okolicy, że snadnie przyjdzie wpaść ci w ich ręce. A któż cię wtedy obroni?

— Pan Bóg! — odparła Marysia i rwała się do wstawania, aby biedz tam, gdzie Walek znajdować się musiał.

Ale Sługocki wstawać nie pozwalał, lecz co chwila powtarzał:

— Leż kociaku!

A potem dodawał:

— Już to skaranie boskie z tym rodzajem niewieścim! Czy to w puchach i wygodach czy w barłogu a niedostatku wychowane — zawsze to jednakie. Jak ty do niej z afektem, to ona do ciebie z pazurkami, ale jak ty w oddali, to ona przez góry i wody pędzi za tobą, aby cię jeno innej nie odstąpić.

Droczył się tak Sługocki z Marysią, na co żyd, widząc, iż to żaden interes wyniósł się po cichu z izby. Wtedy Marysia zapytała Sługockiego, jakim sposobem znalazła się tu w tej izbie.

Opowiedział jej Sługocki, iż przed dwoma tygodniami znalazł ją żyd omdlałą przy drodze. Przyszedłszy do domu, opowiedział wszystko, zaczem Sługocki wziął ludzi i kazał tu przynieść, aby do sił i zdrowia przyjść mogła.

— Dom to żydowski i ja sam jestem w nim gościem — kończył opowiadanie Sługocki — ale poczciwy żyd chętnie zgodził się na twoje przyjęcie i przyznać trzeba, że niczego nie skąpi, aby ci dogodzić.

— No, dobrze — rzekła Marysia — ale tembardziej czas mi w drogę — nie chcę być ciężarem nikomu a groszy nie mam na zapłatę za jedzenie i starania.

— Co mi tam za jedzenie! — oburzył się Sługocki — kurczęby więcej zjadło! Ale iść dalej nie możesz, chyba wracać ci przyjdzie raczej do Wolicy. Dlatego musisz zaczekać, aż się z ran wyliżę, które te szelmy pod Smoleńskiem mi zadali. Wtedy zabiorę cię z sobą i w strony rodzinne podwiozę.

— To pan był pod Smoleńskiem, z Napoleonem — zapytała ze drżeniem w głosie Marysia — A może pan widział gdzie Walka?

— Pod Smoleńskiem byłem i tam właśnie te psubraty trochę mnie podziurawili, ale Walka w takiej wielkiej gromadzie, choćbym znał, niełatwobym znalazł.

— Ale ja go znajdę!

— Gdybym cię to puścił; ale puścić nie mogę, bo lada chwila wpadłabyś w ręce Moskali i przepadła Walkowi na zawsze. Raczej zabiorę cię z soba a odwiózłszy do Wolicy, tam mu cię przechowam aż do ukończenia wojny.

— To nocą ucieknę a nie wrócę — przekomarzała się Marysia.

Nie zważał jednak Sługocki na jej pogróżki, bo przychodziły mu na myśl okrucieństwa Moskali, jakich sam na sobie doświadczył. Oto dwanaście lat temu, gdy Sługocki bawił u krewnych w okolicach Kijowa, w młodszej siostrze jego żony zakochał się porucznik moskiewski Stozłużew. Pomimo że Moskal był młodzieńcem dorodnym piękna Helunia ani wspomnieć nie dała sobie o związkach małżeńskich z wrogiem jej ojczyzny. Sługoccy powiedzieli mu to otwarcie i zabronili wszelkiego zbliżania się do panienki. Stozłużew zawrzał gniewem i poprzysiągł zemstę. I wykonał ją w okrutny sposób. Sługoccy mieli naówczas jedyną, czteroletnią córeczkę, Zosię, którą kochali nadewszystko. Pewnego popołudnia, gdy służąca wyszła z nią na przechadzkę do pobliskiego gaju, powróciła po długiej nieobecności do dworu sama. Na pytania zatrwożonych rodziców, co stało się z Zosią, odrzekła z płaczem, iż jacyś zamaskowani ludzie wypadli z ukrycia i porwali dziewczynkę. Powstał jęk i lament w całym dworze. Sługocki, nie namyślając się długo, rozesłał pościg na wszystkie strony, niestety, bezskuteczny. Wszyscy byli pewni, że nikt inny nie dokonał kradzieży, tylko zaufani Stozłużewa i na jego polecenie. Dowodów jednak nie było. Jakie tylko starania były możliwe, przedsięwziął je Sługocki, aby utracone dziecię odzyskać, wszystko jednak napróżno. Starał się spotkać gdzie ze Stozłużewem, aby z szablą w ręku uczynić porachunek za wyrządzoną sobie krzywdę, lecz i to mu się nie udało. Dopiero w bitwie pod Smoleńskiem zobaczył go wśród gradu kul. Niepomny na śmierć i rany rzucił się ku niemu jak huragan a dopadłszy, płatnął z taką siłą Moskala, aż szabla pękła na dwoje. Niestety, szabla pękła, lecz Stozłużew wyszedł cało. Sługocki zaś otrzymał kilka postrzałów. Prawie nieżywego zostawiono go na polu bitwy najprawdopodobniej przez przeoczenie. Twarda dusza szlachcica nie uszła z ciała — przyszedł do przytomności, dowlókł się do żydowskiej gospody i tu do sił a zdrowia począł przychodzić.

— Gdy całkiem wydobrzeję — kończył opowiadanie Sługocki — wracać mi przyjdzie nad Wisłę, gdziem małżonkę pozostawił, więc i ciebie z sobą zabiorę.

— Nie dobrodzieju mój złoty — błagała Marysia — ja wracać nie mogę, ja muszę iść, gdziem postanowiła, bo w przeciwnym razie wstydby mi było stanąć przed Walkiem i kochania jego żądać. Niech się stanie, co chce, ja pójdę dalej, mój dobrodzieju, pójdę...

A mówiąc to, składała przed nim swe wychudłe rączęta i tak w niego patrzała, jak to kocie proszące o mleka drobinę.

Próbował odradzać Sługocki, ale pod siłą jej woli miękł coraz bardziej, aż wkońcu zaprzestał odradzań a począł dawać wskazówki, w jakim kierunku ma dalej postępować, aby dojść do armii Napoleona i jak ma się zachować w czasie podróży.

Gdy Marysia sił nabrała i przyszedł czas pożegnania, spłakał się Sługocki, by małe dziecko.

— Zda mi się, że córkę drugą tracę, tak cię umiłowałem, mój ty kociaku kochany.

A gdy już Marysia wyruszyła w drogę, podprowadził ją daleko za wieś, zaś przy pożegnaniu wręczył sporą sumkę pieniędzy i sztylet dobrze wyostrzony.

— Weź to, kociaku, — mówił — bez grosza trudnoby ci było, a ta stal wrazie wypadku przydać ci się może albo na wroga, albo w obronie twej czci przed nim — dla siebie.

Marysia wzbraniała się w przyjęciu pieniędzy; ale Sługocki nie ustąpił, więc zgodzić się musiała; sztylet zaś przyjęła chętnie i dobrze uczyniła, gdyż wkrótce okazał on się jej prawdziwym przyjacielem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Miałaś Polsko!



*Miałaś, Polsko, królewska purpure,*
*miałaś Cudu archanielski kord:*
*a dziś... knutem swiete Twe ramiona*
*siecze tyran — władca dzikich hord.*

*Stałaś, Polsko, w ludu rolnem kole,*
*jak rusałka w krasnym wiencu z róż —*
*dziś cierniowa wienczy Cie korona,*
*władne berło utraciłaś już.*

*Miałaś łany złotych pełne kłosów,*
*ludów spichrzem zwał Cie cały swiat —*
*dziś Twe dzieci chleb jedzą tułaczy,*
*bo głód, nedza wygnały je z chat.*

*Twego miecza jasne błyskawice*
*rozświetlały bitew krwawy łan,*
*gdy skrzydlate wodziły witezie*
*twardych wojów na smiertelny tan.*

*Russkie cary imałaś w niewole,*
*w dniach tryumfu „Zygmunt“ hymn Ci grał;*
*Krzyżak zginał przed Tobą kolana*
*i, wspomniawszy Twoje imie, drżał.*

*Lecz jednego zgnieść nie mogłaś wroga,*
*co sie w serca synów Twoich wżarł*
*i, piekielnem zatruwszy je tchnieniem,*
*stygmat chwały zdradziecko z nich starł.*

*Wróg ten straszny zowie sie: „Niezgoda“ —*
*od szatana swój wywodzi ród:*
*on Ci, Polsko, kajdan kuł ogniwa,*
*on w mogilny zanurzał Cie chłód.*

*Zadrżyj wrogu, bo już idzie chwila,*
*co zakończy niecny tryumf twój!*
*Wstaje Legion, — Miłość jego wodzem —*
*co na srogi pójdzie z tobą bój.*

*Widmem Polski z krzyża zdjetem, krwawem*
*zetrze ciebie, córo piekła, w pył;*
*pod Miłości i zgody sztandarem*
*stanie Naród nowych pełen sił.*

*Hen, szeroko od morza do morza,*
*od Tatr muru do Wawelu wrót*
*zabrzmi hasłem Wieszcza swieta wola:*
*„Z szlachtą polska — polski powstał Lud!“*

*Staną, staną Żniwiarze na roli*
*raniutenko — pod słoneczny Świt;*
*pieśń zawiodą hejnał Zmartwychwstania,*
*ca zagłuszy wrażych kajdan zgrzyt!...*

**Sioło Władysław.**

# POZIOMKA.

(Legenda).

Będąc dziecięciem jeszcze, jak wieść niesie,
Pobiegł Pan Jezus w dzień letni na kwiatki,
Pobiegł pobawić się w cienistym lesie,
Nazbierać kwiatów dla swej drogiej Matki.

Las był uroczy, a Dzieciątko Boże
Oszołomione zostało widokiem
Przepięknych kwiatów, do ziemi w pokorze
Przed Jego boskiem chylących się okiem.

Ono, jak motyl, za kwiatami goni
I wykrzykuje co chwila uciesznie
I główki, pełne balsamicznej woni
I barw przecudnych, rwie roślinom spiesznie.

Właśnie zrywało Dziecię lilię białą,
Co Mu się sama chyliła do dłoni,
Kiedy spostrzegło niepokaźną, małą
Roślinkę z białym kwiatuszkiem bez woni.

— Smutne me życie — rozpoczęła głosem
Cichym roślinka trójlistna się skarżyć —
Smutnym mię Stwórca obdarował losem,
O szczęściu nawet nie wolno mi marzyć.

Wszyscy szukają kwiatu, który cudną
Barwą i wonią pieści i zachwyca,
A mnie wśród mnóstwa kwiatów ujrzeć trudno,
Niczyja na mnie nie spocznie źrenica.

— A choć to małe, złotowłose Dziecię —
Poczęła szeptać znów po krotkiej przerwie —
Mię zobaczyło, wiem dobrze, że przecie
Pomimo tego Ono mnie nie zerwie.

Bo jak z kwiatami, które Dziecię w dłoni
Swej drobnej dzierży, mogę iść w zawody?
One są barwne, cudnej pełne woni...
Lecz dość mej skargi, choć mi brak urody.

Na mnie tak samo, jak na inne kwiatki,
Słońce promienie złote zlewa z nieba,
Ta sama rosa spływa na me płatki,
Bóg mój opiekun — więcej mi nie trzeba.

Dobiegł szept cichy do uszu Dzieciny.
Zerwało Dziecię ją, wątłą i małą,
I narzekaniem przejęte rośliny,
Tak się z uczuciem do niej odezwało:

— Bóg ci, mój kwiatku, nagrodzi twą cnotę,
Skromność, w żywota okazaną wiośnie.
Będą mijali ludzie kwiaty złote,
Szukając tego, co z ciebie wyrośnie.

Z temi słowami najpiękniejszy z dziatek
Gorący całus na kwiatku wycisnął.
Pod warg dotknięciem opadł biały kwiatek,
Owoc pąsowy w jego miejscu błysnął.

*Arkadyusz Szarek.*

# OBÓZ CYGANÓW.



Cichy i miły kącik wybrała sobie mała banda cyganów na wypoczynek, niedaleko drogi, prowadzącej od gęstego, jodłowego lasku aż do wioski, dość jednak oddalonej, by im ludzie nie przeszkadzali.

Dobrze tu, tym ludziom, poprzestającym na malem. Drew dość, by zgotować nędzny posiłek. Pnie drzew są najwygodniejszem siedzeniem, a kłody zastępują stoły. Nędzne szkapy, które aż tu z trudem przywlokły jedyne mieszkanie cyganów, okryte budy na wozach; karmią się na tym karczunku smaczną trawą i soczystemi ziołami.

Dziś jednak dziwnie smutno tym ludziom, tak zwykle bez troski żyjącym; powagę widać nawet na twarzyczkach ich dzieci. Brak bowiem wesołego Janka, ulubieńca wszystkich, który tak pięknie umie grać na skrzypcach, tak umie zwieźć najsprytniejszego nawet wieśniaka przy handlu bydłem a zna tysiące sztuczek i niemi tylko na utrzymanie bandy zarabia. Braknie Janka, ukochanego pięknej Motruny, zamyślonej tęskno pod drzewem: a co najgorzej, że jest uwięziony i czeka na wyrok.

Na ostatnim targu końmi zanadto dokazywał, złapano go na podstępie, mocne dłonie żandarmów schwyciły go silnie. Wtedy przypadła na niego trwoga okropna — utraty ukochanej wolności. I błyskawiczną szybkością wyjął nóż i zwrócił ku sobie. Oskarżono go o podstęp, wystąpienie przeciw prawu, o zamach na siebie.

— Jak powiedzie się przed sądem Jankowi? Oto ciężkie pytanie — które zadają sobie wszyscy — kładą karty, — wróżby przyszłości, ale karty... milczą.

# Bank Ziemski w Łańcucie.

Pod przewodnictwem posła Dra Jana Hupki odbyło się w Łańcucie zwyczajne Walne Zgromadzenie Galicyjskiego Banku ziemskiego przy współudziale 21 członków reprezentujących 280 głosów.

Imieniem Dyrekcyi przedstawił Dyrektor Żardecki sprawozdanie z czynności i rachunków za r. 1911. Ze szczegółów zawartych w bilansie wynika, że rok administracyjny 1911 wykazuje dalszy silny rozwój interesów Banku. Z dniem 31-go grudnia 1911 liczy Bank 1854 członków z subskrybowanymi udziałami w kwocie 581.900 K. i wypłaconą na udziały gotówką w wysokości 403.038 K. 76 hal. — przeto gotówką wpłacone udziały powiększyły się o kwotę 50.792 K. 15 hal. Majątek własny Banku w udziałach wpłaconych gotówką i w funduszu rezerwowym wynosi 524.296 K. 76 hal., przeto w ciągu roku administracyjnego wzrósł własny majątek Banku o kwotę 67.173 K. 16 hal.

Z wykazów statystycznych Zgromadzeniu przedstawionych i z wyjaśnień ustnych okazuje się, że Bank posiada 15 majątków własnych, a 8 majątków powierzonych w komisową parcelacyę z gwarancyą uzyskania pewnej minimalnej sumy z parcelacyi i bez takiej gwarancyi. W roku sprawozdawczym Bank sprzedał ogółem tak w Zakładzie głównym w Łańcucie, jak we Filii we Lwowie łącznie 3.165 morgów 1586 sążni kwadrat. z czego przypada obszar 2397 morgów 522 sążni kwadrat. na majątki własne. Z dniem 31 grudnia 1911 posiada Bank jeszcze niesprzedanych w majątkach własnych 3922 morgów 304 sążni kwadrat. w majątkach powierzonych w komis z gwarancyą 637 morgów 178 sążni kw. a powierzonych w komisową sprzedaż bez gwarancyi 977 morgów 689 sążni kwadrat. — razem przeto z początkiem bieżącego roku administracyjnego Bank posiada wogóle jeszcze do sprzedania 5.536 morgów 1171 sążni kwadr.

Razem we wszystkich pięciu okresach sprawozdawczych sprzedał Bank 16.615 morgów 618 sążni kwadrat. za sumę 13.907.861 K. 05 hal., a na poczet ceny kupna nabywcy wpłacili gotówką 8.092.004 K. 11 hal. W roku sprawozdawczym przeciętna uzyskana cena za 1 mórg spzedanych gruntóww drodze parcelacyi wynosiła 849 K.

Znaczny rozwój instytucyi spowodował Radę nadzorczą i Dyrekcyę do żądania od Walnego Zgromadzenia, które odbyło się w listopadzie 1911 roku upoważnienia do czynienia kroków, celem zamiany stowarzyszenia na Towarzystwo akcyjne z kapitałem 3.000.000 K. i z prawem wydania obligacyi hipotecznych fundowanych na wierzytelnościach Banku z tytułu reszt cen kupna. Zgromadzenie upoważniło do poczynienia starań, a sprawozdanie Dyrekcyi zaznacza, że wywiązując się z tego polecenia w styczniu br. wniesiono do władz administracyjnych podanie wraz z projektem statutu.

Sprawozdanie podnosi dalej, że w roku 1911 zajął się Bank gorliwie sprawą kolonistów polskich w Bośni, którzy z powodu znanych z dzienników niemożliwych do zniesienia stosunków narodowościowych tamże — pragnęli do kraju powrócić. W tym celu wysłano do Bośni jednego z urzędników Banku jako delegata do zbadania sprawy na miejscu, a równocześnie poczyniono przygotowawcze starania do uzyskania potrzebnej ilości gruntów w Galicyi dla kolonistów, którzyby mieli chęć powrócić do kraju.

Całą tę sprawę odroczono jednak chwilowo ze względu, że zamianowany w międzyczasie ministrem wspólnego Skarbu Excell. Dr. Leon Biliński zapowiedział, że zajmie się losem tych kolonistów — postara się o polskie szkoły, polskie nabożeństwa w kościołach, a wreszcie o uregulowanie stanu prawnego, odnoszącego się do nadanych im gruntów.

Już w roku bieżącym wpłynęła do Banku znaczna ilość zgłoszeń od osiadłej w Westfalii i prowincyi Nadreńskiej ludności polskiej, chcącej zakupić grunta w Galicyi. Bank zajął wobec tych propozycyi stanowisko przychylne — gdyż w miejscu dotychczasowego pobytu groziłaby im niewątpliwie germanizacya a o powrocie i zakupnie gruntów w polskich prowincyach w Niemczech, wobec pruskiej ustawy osadniczej nie może być nawet mowy.

Po sprawozdaniu Dyrekcyi imieniem Komisyi rewizyjnej wniósł Dr. Leonard Tarnawski o udzielenie Dyrekcyi absolutoryum, podnosząc, iż komisya po dokładnem sprawdzeniu rachunków i sposobu zestawienia bilansu przekonała się, że do stanu czynnego wstawiono oględnie wartość nierozparcelowanych reszt majątków, gdyż w wielu wypadkach cyfry są znacznie niższe od rzeczywistych kosztów nabycia gruntów przez Bank — w żadnym zaś wypadku nie doliczono do wartości gruntów żadnych procentów ani własnych prowizyi. Wreszcie Zgromadzenie dokonało uchwałę co do rozdziału czystego zysku wynoszącego 45.157 K. 95 h. Z tego przeznaczyło 30.000 na 8% dywidendę od udziałów, 5.000 na fundusz rezerwowy, 3.500 na rezerwę strat, 4.600 na tantyemę dla Dyrekcyi i Rady nadzorczej, zaś 2.157 K. 95 hal. przeniesiono na rachunek zysków roku przyszłego.

Po uchwaleniu tych wniosków nastąpiły uzupełniające wybory do Rady nadzorczej. przy których jednomyślnie wybrano pp.: Dra Adama Głażewskiego, Stanisława Noebla, Leona Kniazia Puzynę i Andrzeja Szpetnara powrotnie oraz jako nowego członka Rady nadzorczej Alfreda hr. Potockiego z Łańcuta.

Do komisyi rewizyjnej wybrało Walne Zgromadzenie pp.: Mieczysława Kozaka, Franciszka Magrysia, Kazimierza Pohoreckiego, Dra Leonarda Tarnawskiego i Antoniego Trojnara.

W załatwieniu ostatniego punktu porządku dziennego odczytano sprawozdanie lustratora Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych z lustracyi przeprowadzonej przez delegata Banku krajowego w charakterze delegata Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych we Lwowie w dniu 13, 14, 15 i 16 marca 1911 r.

Sprawozdanie Walnego Zgromadzenia jednomyślnie przyjęto do wiadomości.



## *I mówią do mnie...*

*I mówią do mnie, chłopskiej doli,*
*Czarne zgrubiałe pracą dłonie:*
*Znojem ich żyzny zagon roli,*
*Co złocistemi kłosy spłonie.*

*Mówi przednowek do mnie blady,*
*Co chłopskie wnętrze głodem trawi,*
*„Za chlebem, we świat tych gromadą,*
*Gdy wiosna ciepłem deszczem łzawi...*

*Mówią nad wioską niebios szlaki:*
*Gwiazdy, księżyc, słońca zorze,*
*Że tam jest życie, nam biedaki...*
*Temu co padoł ziemski orze...*

**Jantek z Bugaja.**

# Rzadki głos.

Rzadko odzywamy się do ogółu naszych Przyjaciół i Czytelników z słowami przymilającemi się do ich kieszeni, gdyż w naszej działalności społecznej nie o grosz nam chodzi, ale o oświatę, która każdemu społeczeństwu jest potrzebną. I jeżeli dzisiaj, przy kończącem się półroczu, potrącimy o stronę materyalną, to nie dlatego, abyśmy o zyskach jakichś myśleli, ale dlatego, aby wydawnictwo nasze wzmódz i postawić jeszcze na silniejszych podstawach.

Przy pomocy Bożej i poparciu naszych Przyjaciół rzesze Czytelników Roli z dniem każdym wzrastają, szeregi ich objęły całą Galicyę od zachodu na wschód; cały Śląsk zasiany jest naszymi Przyjaciółmi, ba nawet poza granicami tych dwóch krajów mamy bardzo licznych zwolenników jak w Bośni, na Węgrzech i na Bukowinie. A nietylko w obrębie monarchii Rola chętnie jest czytaną, ale także pod Prusakiem, w Danii, Szwecyi a nawet w oddzielonej oceanem Ameryce stała ona się przyjaciółką licznych braci — Polaków.

Dziękujemy za to Bogu i jesteśmy wdzięczni tym, którzy Rolę popierali i popierają.

Ale nam nigdy nie dosyć, bo my trzymamy się przysłowia: »Pozwól kurze grzędy, ona zechce wszędy«. Dlatego też pragniemy gorąco, aby nie było domu na ziemi polskiej, do któregoby Rola nie zaglądała. Każdy powinien ją znać, każdy powinien czytać, a kto raz pozna, to ją umiłuje, bo ona dla wszystkich jest przyjaciółką.

Jest przyjaciółką dlatego, gdyż nie prowadzi sporów politycznych, nie rozsiewa zawiści i waśni, ale pragnie jedności i zgody a miłości wzajemnej.

Chcąc, aby te nasze zasady zyskały jak największą liczbę zwolenników dla dobra wspólnej Matki-Ojczyzny, zwracamy się dziś, przy końcu półrocza, do naszych Przyjaciół, by oni usiłowania nasze czynem poparli. Niech każdy z Was, drodzy Bracia, pozyska choćby tylko jednego prenumeratora a wielce przysłuży się dobru społecznemu. Pozyskanie jednego prenumeratora rzecz to dla nikogo nietrudna, a Rola zyska przez to tysiące nowych czytelników, przez co oświata popłynie szerszem korytem a wydawnictwo, mając więcej grosza do rozporządzenia, będzie mogło coraz bardziej pismo ulepszać.

Ponadto zwracamy się do tych, którym kończy się prenumerata, aby zechcieli zaraz ją odnowić na drugie półrocze, ażeby nie doznali przerwy w wysyłce Roli. Każdy bowiem, komu kończy się prenumerata z tym numerem, już następnego numeru Roli nie otrzyma. Stanie się to niedlatego, abyśmy się bali, iż należytość przepadnie nam u kogoś, ale dlatego, że opaski z adresem mamy przygotowane z góry dla tylu numerów, ile trzeba do końca kwartału.

Kończymy to przymilenie się do kieszeni Waszej, Czytelnicy, życzeniem, aby liczba naszych prenumeratorów na drugie półrocze wzrosła w dwójnasób.

# Jakie to szczęście chłopa spotkało.

(Humoreska).

W pewnej wiosce nadwiślańskiej żył sobie chłopek nazwiskiem Walek Dryngała wraz z żoną w ubóstwie, bo miał zaledwie parę zagonów i chatynkę wylepioną gliną. Pewnego razu wybrał się na jarmark a że pieniędzy nie miał, wziął kilkanaście jajek do kieszeni, aby za nie kupić tytoniu do fajki i babie soli.

Że to nasze wioski nadwiślańskie są bardzo oddalone od miasta, więc Walek Dryngała zerwał się wczas tak, że na wschód słońca upalił drogi już do półtory mili.



Idąc tak ścieżką koło miedzy, patrzy, aż tu zając śpi.

— Bogu dzięki; myśli sobie — raz już ta nędza się skończy u mnie. Nie będę już boso chodził ani moja baba. Kupię sobie ze 3 morgi pola, pług, brony, wóz, i do tego z parę wołów a wszyćko za tego zająca. Przyjmę sobie parobka — myśli dalej — i pojedzie my orać w pole. Gdy już słońce w górę wyjdzie, zacznie przygrzywać, to woły odprzągniemy od pługu, puścimy na paszę a oba z parobkiem Maćkiem, bo tak mu będzie, legniemy sobie w cieniu, aby się przepołudniować. Ja zaś, jako gospodarz, muszę czuwać, aby my do wieczora nie dospali. Gdy już słońce się obniży, wstanę, oczy przetrę, przeciągnę się i zawołom głośno:

— Maciek wstoń!

Uniesiony Walek tą radością, że tyle za zająca nakupi, zapomniał o tem, że to zając śpi. Gdy tak krzyknął głośno na Maćka, zając skoczył i poszedł a Walek, jak wprzód nic nie miał, tak został przy niczem.

— O mój Boże, żebym był na Maćka nie wołał, to byłbym wszystko miał. Czegóż ja zająca nie łapał a potem kupował i Maćka budził — biedał Walek; a coraz większy żal za serce go ściskał, bo przecie, jak myślał — w jednej minucie stracił morgi, pług, brony, wóz i woły. Zrozpaczony padł na ziemię i począł wrzeszczeć, przyczem zapomniał o jajkach, które miał w kieszeni, a które wszystkie pogniótł. Zwalany cały wrócił do domu bez tytoniu dla siebie i soli dla baby, której nie miał za co kupić.

— Oj nieszczęsna godzina, żem na Maćka zawołał — narzekał Walek po powrocie do domu.

— O rety, Walek cóżeś ty robił? Bój się Boga — pyta go żona.

— Oj, Kasiu, byłabyś już dziś panią, żebym ja nie był głupi i na Maćka nie wołał. Ten Maciek nieszczęsny! Lepiej, żebym go był na służbę nie brał.

Gdy wszystko opowiedział babie, jakiem go Bóg szczęściem obdarzył, rozpłakała się niebogа i rzekła:

— Nie smuć się, Walek, pójdziesz jutro, może znów zając będzie spał, to go złapiesz.

Długo Walek chodził, ale już zająca nie spotkał nigdzie.

Gdy już dobrze zajrzała bieda w oczy Walkowi, wziął się do pracy na dobre i już dziś nie marzy o zającu i zakupnie morgów za niego.

Z tego żartobliwego opowiadania łatwo wysnuć naukę, że nie marzeniami, ale pracą dochodzi się do dobrobytu. ***Kazimierz Tokarski.***

# ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ VI.

Zawsze na uboczu. — Żądanie nieznajomego. — Zbudowanie chaty przy zagrodzie. — Minęło lat 12! — Kapitan Brytanii. — Pozostawienie na wyspie Tabor. — Ręka Cyrusa Smitha. — Tajemniczy dokument.

Te ostatnie słowa potwierdzały domysły kolonistów. Przeszłość tego nieszczęśliwego musiała być zbrodniczą, a choć odpokutował za nią, własne sumienie jeszcze go nie rozszerzyło. Nie mogąc się jednak oderwać od nowych swych towarzyszów i uciec do lasu, przebywał ciągle w pobliżu.

Wszystko wróciło znów do dawnego porządku. Nieznajomy pracował zawsze samotnie, nie zasiadał nigdy do wspólnego posiłku, sypiał pod drzewami. Zdawało się, że obecność ludzi była mu nieznośną, i dopiero w tydzień po swym powrocie do Granitowego pałacu, nieznajomy zbliżył się do Cyrusa, i rzekł do niego z pokorą, lecz spokojnie:

— Mam do pana prośbę.

— Czegóż żądasz?

— O cztery lub pięć mil stąd posiadacie owczarnię. Znajdujące się tam zwierzęta potrzebują dozoru, czy mi pozwolicie, abym mieszkał tam z niemi?

Cyrus spojrzał na nieszczęśliwego z głębokiem współczuciem i rzekł:

— Mój przyjacielu — odpowiedział Cyrus — nie chcemy ci się sprzeciwiać w niczem. Chcesz mieszkać przy owczarni, niech i tak będzie.

— Dziękuję — rzekł krótko nieznajomy — odchodząc.

Tegoż jeszcze dnia koloniści udali się do owczarni z potrzebnemi narzędziami; nim tydzień upłynął zbudowali już małą chatkę o kilkadziesiąt kroków od owczarni, a w parę dni później zaopatrzyli ją w potrzebne sprzęty, i pewną ilość prochu.

Dwudziestego grudnia inżynier zawiadomił nieznajomego, że mieszkanie jego już skończone; ten oświadczył, że się tam przeniesie zaraz wieczorem.

Około ósmej godziny — gdy koloniści zebrani w wielkiej sali zajęci byli rozmową — nieznajomy wszedł i odezwał się do nich.

— Zanim pożegnam was — panowie — muszę opowiedzieć, czem byłem i jakim byłem.

Poczem głosem stłumionym, rozpoczął następujące opowiadanie.

»Dnia 20 grudnia 1854 roku jacht spacerowy Dukan, należący do bogatego Szkota, lorda Glenarwana, zarzucił kotwicę około przylądka Bernouilli, na zachodniem wybrzeżu Australii. Na pokładzie tego jachtu znajdowali się: lord Glenarwan z żoną, major armii angielskiej, geograf Francuz, młoda panienka i młody chłopiec. Ci ostatni byli dziećmi kapitana Granta, którego statek *Brytania* rozbił się i zatonął przed rokiem. Kapitanem *Duncana* był John Mangles, a osada składała się z piętnastu ludzi.

Sześć miesięcy przedtem znaleziono w morzu Irlandzkiem butelkę, zawierającą dokument, z którego dowiedziano się, że trzy osoby z osady Brytanii pozostały przy życiu, że jedną z nich był kapitan Grant, że znaleźli schronienie na jakiejś nieznanej im ziemi. Admiralicya ociągała się z rozpoczęciem poszukiwań, lord Glenarwan więc postanowił dołożyć wszelkich usiłowań, aby odnaleść kapitana. Poczyniono stosowne przygotowania do tak odległej wyprawy, w której także wziąć udział miała rodzina lorda i dzieci kapitana, Marya i Robert. Duncan wypłynął z Glasgowa, dotarł do Patagonii, gdzie, jak przypuszczano, kapitan mógł być w niewoli u krajowców.

*Duncan* zostawił swych pasażerów na zachodnim brzegu Patagonii, i odpłynął, aby oczekiwać na ich przybycie na wschodnim, około przylądka.

Lord Glenarvan przeszedł w poprzek Patagonię, zwiedził po drodze wyspy Tristan, Akunha i Amsterdam, a nareszcie zamierzył przebyć Australię. O kilka mil od brzegu znajdowała się ferma, należąca do pewnego Irlandczyka, który chętnie udzielił gościnności podróżnym. Lord Glenarwan zawiadomił gospodarza, z jakiego powodu przybył w te strony — i zapytał go, czy nie słyszał co o rozbiciu trzymasztowego angielskiego statku *Brytania* przed niespełna dwoma latami, na zachodnim brzegu Australii.

»Irlandczyk nic o tem nie wiedział, lecz jeden z jego służących odezwał się:

— »Podziękuj Bogu milordzie, bo jeżeli kapitan Grant żyje dotąd, to znajdziesz go w Australii.

— »Któż ty jesteś? — zapytał lord Glenarwan.

— »Jestem — milordzie — równie jak ty Szkotem, a prócz tego jednym z towarzyszów Granta.

»Człowiek ten nazywał się Ayrton i był rzeczywiście sternikiem ze statku *Brytania*, jak to poświadczyły jego papiery. Powiedział jednak, że nie może udzielić żadnych wiadomości o swym kapitanie, gdyż stracił go z oczu w chwili, gdy statek rozbił się o skały; dotąd był pewny, że tenże utonął wraz z resztą osady.

— »Tylko — dodał — *Brytania* rozbiła się nie na tym, lecz na wschodnim brzegu Australii, tam więc trzeba szukać kapitana Granta.

»Człowiek ten mówił głosem pewnym i spoglądał śmiało. Irlandczyk, u którego służył rok przeszło, ręczył za niego. Lord Glenarwan uwierzył więc jego słowom i, stosownie do jego rady, postanowił udać się na wschodnie wybrzeże, nie zbaczając od wskazanego w dokumencie kierunku. Lord Glenarwan, jego żona, dzieci kapitana, mojor, Francuz, kapitan Mangles i kilku majtków, mieli podróżować lądem pod przewodnictwem Ayrtona, *Duncan* zaś pod dowództwem porucznika Toma Austin, odpłynął do Melbourn, gdzie miał czekać na dalsze rozkazy lorda.

»Muszę teraz wyznać, że Ayrton był zdrajcą. Służył on rzeczywiście na statku Brytania, ale gdy ukarany za brak karności, starał się nakłonić osadę do buntu i opanowania statku, kapitan Grant wysadził go na ląd, na zachodniem wybrzeżu Australii, i popłynął dalej.

»Nędznik ten dopiero od lorda Glenarwana dowiedział się o rozbiciu *Brytanii*. Został on pod nazwiskiem Bena Joyce, naczelnikiem zbiegłych deportowanych, i dlatego jedynie utrzymywał, że statek rozbił się przy wybrzeżu wschodniem, dlatego namówił lorda Glenarwana do rozpoczęcia poszukiwań w tej stronie, aby go oddalić od jego jachtu, zająć *Duncana* i zrobić z niego statek korsarski.

»Łatwo pojąć, że wyprawa pod przewodnictwem Ayrtona nie mogła przynieść rezultatu i dodać należy, że towarzyszyli jej ciągle niepostrzeżenie podwładni Bena Joyce, zbiegli zbrodniarze, aby w razie potrzeby miał pomoc zapewnioną.

»Wiemy już, że *Duncan* został posłanym do Melbourn. Teraz więc chodziło Ayrtonowi głównie o to, aby lord Glenarwan wydał mu rozkaz przypłynięcia do wschodniego wybrzeża Australii, gdzie zbrodniarze mogli go łatwiej opanować. Doprowadziwszy podróżnych do dziewiczych a niezbyt odległych od wybrzeża lasów, gdzie czuć się dawał brak najpierwszych wygód, Ayrton otrzymał wreszcie list do porucznika Toma Austin, z rozkazem, aby *Dun-*

*Duncan* udał się natychmiast na wybrzeże wschodnie, i zatrzymał się w zatoce Twofold, to jest o kilka dni drogi od miejsca, w którem zatrzymali się podróżni. Tam właśnie Ben Joyce wyznaczył schadzkę swym wspólnikom.

»Ayrton miał sam list wręczyć. W chwili jednak, gdy mu go oddać miano, odkryto zdradę, i musiał ratować się ucieczką. Pomimo to potrafił list ten wykraść i we dwa dni później przybył do Melbourn.

»Dotąd zbrodniarz przeprowadził szczęśliwie swe niecne zamiary. Teraz miał zaprowadzić jacht do zatoki Twofold. gdzie złoczyńcy opanują go z łatwością i wymordują osadę. Wówczas Ben Joyce stanie się panem na tem morzu. Bóg nie dozwolił mu spełnić tych zbrodniczych zamiarów.



Stłumionym głosem rozpoczął opowiadanie.

»Ayrton — przybywszy do Melbourn — wręczył list porucznikowi Austin, który zaraz po przeczytaniu go kazał rozwinąć żagle, lecz łatwo wyobrazić sobie gniew Ayrtona, gdy dowiedział się, że jacht płynął nie do wschodniego wybrzeża Australii, lecz do wschodniego wybrzeża Nowej Zelandyi. Chciał się temu sprzeciwić, porucznik pokazał mu list!... Rzeczywiście — w skutek zrządzenia Opatrzności — geograf Francuz, — piszący ten list — wskazał wybrzeża Nowej Zelandyi jako miejsce przeznaczenia dla *Duncana*.

»Ayrton chciał stawić opór, więc uwięziono go. Popłynął do wybrzeża Nowej Zelandyi, nie mogąc uwiadomić swych wspólników, nie wiedząc, co się stało z lordem Glenarwanem.

»*Duncan* krążył około wybrzeża do trzeciego marca. W tym dniu Ayrton posłyszał wystrzały: *Duncan* witał lorda Glenarwana wystrzałami.

»Po tysiącznych trudach i niebezpieczeństwach, podróżni dostali się na wybrzeże Australii, około zatoki Twofold. Nie zastali *Duncana*. Lord Glenarwan telegrafował do Melbourn, odpowiedziano mu: *Duncan* wypłynął 18, miejsce jego przeznaczenia niewiadome«.

»Lord Glenarwan był przekonany, że jacht wpadł w ręce Bena Joyce. Nie odstąpił jednak od raz powziętego postanowienia. Wsiadł na okręt kupiecki, płynący do Zachodniego wybrzeza Nowej Zelandyi, przebył ją aż do wybrzeża wschodniego, i tu z radością i zadziwieniem zastał swój statek pod dowództwem porucznika Austin, który czekał na niego już od pięciu tygodni.

»Stawiono Ayrtona przed lordem Glenarwanem, który pragnął dowiedzieć się od niego jakich szczegółów o kapitanie Grancie. Ayrton nie chciał mówić. Lord Glenarwan oświadczył mu, że go odda w ręce władz angielskich. Ayrton milczał. Dopiero lady Glenarwan wymogła na nim tyle, że obiecał powiedzieć wszystko, co wie, jeżeli lord Glenarwan zamiast oddawać w ręce sprawiedliwości, pozostawi go na której z wysp Oceanu Spokojnego. Lord zgodził się na to. Ayrton opowiedział mu wówczas całe swoje życie, lecz utrzymywał niezmiennie, że nie słyszał nic o kapitanie od chwili, gdy ten pozostawił go na wybrzeżu Australii.

»Mimo to lord Glenarwan dotrzymał słowa. *Duncan* przybył do wyspy Tabor, i tam pozostawiono Ayrtona, tam także, co można uważać za cud prawdziwy, znaleziono kapitana Granta i dwóch jego towarzyszów.

»W chwili, gdy złoczyńcę wyprowadzono na ląd — lord Glenarwan odezwał się do niego:

— »Tu — Ayrtonie — pozostaniesz. Będziesz żył samotnie pod okiem Boga, przed którym nic utaić nie można.

»Dunkan odpłynął. Było to dnia 18 marca 1855 r.

»Ayrton pozostał sam jeden, aby życiem samotnem odpokutować za swe zbrodnie.

»Żal jego był szczery, wstydził się swych zbrodni, dręczyły go straszne wyrzuty sumienia i był bardzo nieszczęśliwy! Gorąco modlił się, aby się odrodzić przez modlitwę!...

»Nie potrzebuję objaśniać panów, że Ayrton, Ben Joyce i ja, to jedna i taż sama osoba«.

— Ayrtonie — rzekł Cyrus — wielkie popełniłeś zbrodnie, ale widać Bóg osądził, żeś już odpokutował za nie, skoro pozwolił ci wrócić do ludzi. My ci przebaczamy i przyjmujemy za współtowarzysza.

Ayrton cofnął się wzruszony.

— Oto moja ręka — rzekł inżynier.

Ayrton rzucił się do podanej ręki i rzęsistemi oblał ją łzami.

— Czy chcesz pozostać razem z nami? — zapytał Cyrus.

— Pozwól mi przynajmniej jeszcze jakiś czas pozostać w samotnej chatce przy owczarni.

— Dobrze — skoro tego pragniesz, ale jedno jeszcze zadam ci pytanie. Skoro zawsze chcesz żyć samotny, dla czegóż wrzuciłeś w morze ów dokument, który nas na ślad twój naprowadził?

— Dokument? — zapytał — nie domyślając się, o co chodzi.

— Tak, ów dokument w butelce, który podał nam zupełnie dokładne oznaczenie położenia wyspy Tabor.

Ayrton przesunął ręką po czole, zamyślił się głęboko i nareszcie odpowiedział stanowczo:

— Nigdy żadnego dokumentu nie wrzucałem w morze.

— Nigdy? — zawołał Penkroff.

— Tak jest, nigdy! — odrzekł — i pożegnawszy się, wyszedł.

(Ciąg galszy nastąpi).




Jagem pedzioł, tagem zrobił: pojechałem na świze powietrze do Pipidówki. Pipidówka jest to miasto, nie takie wilgaśne jak Mościska, Niebylec, Scurowa, albo choćby Kęty, ale zawsze większiejse jak nasa Zatracona Wieś. W Pipidówce jest kościół, skoła, propinacyja i pan burmistrz, słowem najważniejsze wszyćkie urzęda a nawet fajermany są, których w Zatracony Wsi nima.

A myślicie, ze fajermon to bagatela?! Juści! On jak zużry ogień, to choćby pirogi miał w donicy, to ich nie rzuci, ale zje i cemduchu pędzi do ognia. A bez drogę, to trąbi całą gębą, aby się ludzie bali.

Jak się fajermany zlecą do ognia a zacną sikać, to choćby się wójtowa chałpa paliła, ustąpić musi i zgasnąć. Takie fajermany są w Pipidówce a ni ma ich w Zatracony Wsi i bez to Pipidówka jest miasto a Zatracona Wieś ino wieś.

Ale nie ino la tego Pipidówka je miasto, a Zatracona Wieś jest wieś, ale i la tego, ze w Zatracony Wsi jest ino wójt a w Pipidówce jaze sam pan burmisz. Co prawda, tom się nijak ni móg wywiedzieć, jaka jest różnica między wójtem a panem burmistrzem, ale być musi, bo cegoby się jeden nazywał wójt a drugi burmistrz. O różnicy wywiadowałem się, ale mi jej nikt nie potrafił pedzieć, bo wójt chodzi z lagą i burmistrz tez; wójt kopci i wali piecątki i burmistrz tez; wójt zjadby jajeśnicy, jak idzie na konwisyją abo prewizorkę i burmistrz tez; wójt by się napił arbaty z harakiem, jagby mu fto dał i burmistrz tez; wójt nie zawse musi być najmądrzejsy w gminie i burmistrz tez.

La tego choć niby nima różnicy między wójtem a burmistrzem, ale przecie jest, bo się wójtowi mówi: wójcie, a burmistrzowi: panie burmistrzu.

Casem oni ino się równają przy wyzsych osobach, bo te tak wójtowi jak i burmistrzowi padają: panie naselniku.

Ale za to w insych rzecach między Pipidówką a Zatraconą Wsią jest strasecna różnica. W Zatracony Wsi, jak chces zimiaki omaścić, to musis choćby za grajcar kupić cebuli a cała Pipidówka samą cebulą cuchnie a od kuzdego zyda cebula na śtyrnaście kroków śmierdzi, jak od pani organiściny perfumy.

W Pipidówce ludzie takze słabsiejse jak na wsi. Tam taka kapelusowa baba nie usłaby ani dziesięć kroków o własny mocy, ale, jak idzie, to się na swojem chłopie podpira, zeby jej wiatr nie wywrócił. W Zatracony Wsi to prędzy chłop na swojej babie rękę zeprze, jak mu źle strawę ugdysi, abo w cem insem nie dogodzi.

A juz co najbardziej się mi w Pipidówce nie podobało to to, ze jagem chciał od koleji pojechać koniami, to se za to kazali płacić, jakby to był jaki hajzybon abo sif.

# Z TYGODNIA.

**Nowy marszałek krajowy.** Dnia 19 b. m. nowy marszałek krajowy Adam hr. Gołuchowski objął urzędowanie w wydziale krajowym. Powitanie dostojnika odbyło się uroczyście. Namiestnik Dr Bobrzyński przedstawił nowego marszałka członkom wydziału krajowego, przyczem wyraził nadzieję, że tak samo jak za porzedniego marszałkowstwa wydział krajowy pozostawać będzie w porozumieniu z namiestnictwem we wszystkich ważniejszych sprawach. Od siebie zapewnił namiestnik, że trzymać się będzie zawsze tej łączności i porozumienia. Po krótkiej odpowiedzi marszałka zastępca wydziału krajowego, radca dworu Dr Pilat, powitał go dłuższem przemówieniem, zaznaczając, że hr. Gołuchowski znany jest jako dobry gospodarz w powiecie i długoletni poseł, i wyraził nadzieję, że pod jego przewodnictwem uda się doprowadzić do pomyślnego skutku dwie najważniejsze sprawy krajowe: sprawę uzdrowienia skarbu krajowego i załagodzenia sporów narodowościowych. Kraj cały żywi również tę nadzieję, ufając w takt, energię i rozwagę nowego marszałka. Najwyższego dostojnika autonomicznego wita więc z całem zaufaniem, że w poważnem obecnie położeniu, przed uchwaleniem sejmowej reformy wyborczej i wobec trudności, jakie jej stawiają Rusini, potrafi swą powagą, wpływem i pojednawczem stanowiskiem doprowadzić sprawę do pomyślnego rozwiązania.


Adam hr. Gołuchowski.

**Zatarg Koła polskiego z ministrem.** W zeszłym tygodniu wybuchł poważny zatarg polityczny między Kołem polskiem a ministrem spraw wewnętrznych Heinoldem, zastępującym chorego prezydenta gabinetu Stürgkha. Rzecz pozostaje w związku z obstrukcyą ruską. Rusini zaniechali przeszkadzania obradom nad ustawą wojskową i budżetem, ustawami koniecznemi dla państwa i ludów monarchii, a minister Heinold bez wiedzy Koła polskiego i polskich ministrów, wyrobił im na to podziękowanie cesarza. W piśmie tem zaznacza cesarz, że był początkowo bardzo niemile dotknięty obstrukcyą ruską, lecz następnie, gdy Rusini od obstrukcyi odstąpili, cesarz przyjął to ich postanowienie z uznaniem i wyraża im obecnie podziękowanie, mając nadzieję, że Rusini wytrwają na tem stanowisku także w parlamencie przy głosowaniu nad ustawą wojskową. Gdy wiadomość o tem piśmie cesarskiem dostała się do posłów polskich, w Kole polskiem zapanowało ogólne oburzenie na min. Heinolda, że spowodował on krok monarchy bez poprzedniego zapytania się o radę i zgodę Koła polskiego. Minister Galicyi, Długosz, oburzony, że Heinold działał poza jego plecami, zawiadomił komisyę parlamentarną Koła, że podaje się do dymisyi. Koło polskie powzięło uchwałę, że zrywa z ministrem Heinoldem stosunki, nie mając doń zaufania. Wobec wpływu, jaki Koło polskie ma w parlamencie, minister a nawet cały gabinet zmuszony by był podać się do dymisyi. Kończąca się jednak sesya parlamentarna i konieczność rychłego uchwalenia przez parlament ważnych ustaw, spowodowały, że inaczej trzeba było przejednać słusznie dotknięte Koło polskie. Należało się uciec do pośrednictwa cesarza. Monarcha powołał do siebie ministra Długosza, zapewnił o stałej życzliwości dla Polaków

oraz o zaufaniu do ministra, którego dymisyi by nie przyjął. Udzielił też posłuchania prezesowi Koła Drowi Leo, podniósł wielkie zasługi Koła polskiego dla monarchii i zapewnił, że nic podobnego, coby tak dotknęło Koło, w przyszłości się nie trafi. Osłonił więc monarcha swoją powagą niezręcznego ministra i Kołu pol. dał zupełne zadośćuczynienie.

**Włościanie polscy w Bośni u ministra Bilińskiego.** Podczas swego pobytu w Bośni przyjął minister Biliński między innymi deputacyę polskich kolonistów składającą się z 20 członków, którzy zjawili się w zastępstwie 16 gmin powiatu Banialuka i przedłożyli ministrowi szereg żądań gospodarczych, oświatowych i religijnych, zawartych w osobnym memoryale. Minister oświadczył, że leży mu bardzo na sercu dobro polskich kolonistów, tak samo jak wszystkich innych mieszkańców Bośni. Na prośbę kolonistów o uregulowanie spraw wyznaniowych minister oświadczył, że porozumiał się już co do tego z ks. Arcybiskupem Bilczewskim, który też wysłał już dwóch polskich kapłanów, instytucya zaś dalszych duszpasterzy polskich będzie zaprowadzona z biegiem czasu. Co do nauki w szkołach ludowych przyrzekł minister zaprowadzić w I klasie wyłącznie polski język wykładowy, w II klasie obok polskiego obowiązkowy serbsko-chorwacki, w III klasie zaś język serbsko-chorwacki wykładowy a polski obowiązkowy. Przyrzekł rozpatrzeć sprawę obdzielenia gruntami i poprzeć żądanie kolonistów co do uzyskania praw przynależności w Bośni. We wszystkich sprawach spornych polecił kolonistom udawać się z pełnem zaufaniem do naczelnika powiatu Tuzla p. Barona, który jest rodowitym Polakiem i został mianowany komisarzem wychodźczym. P. Baron będzie na miejscu badał skargi i brał pod rozwagę wszystkie życzenia kolonistów, a rząd krajowy i minister będą je w jak najszerszej mierze uwzględniali. Następnie przyjął minister deputacyę kolonistów ruskich, którzy mu również przedstawili swoje życzenia i odpowiedział im w tym samym duchu co Polakom. W naszym polskim ministrze zyskała ludność Bośni, a wśród niej i włościanie Polacy opiekuna i sprawiedliwego rzecznika ich słusznych żądań.

**Przeciw prawosławiu na Węgrzech.** Wśród zamieszkałej na Węgrzech, głównie w Podkarpaciu, ludności ruskiej, szerzy się w ostatnich czasach coraz bardziej agitacya nawracania na prawosławie, co zmusiło obecnie rząd węgierski do zarządzeń, mających na celu stłumienie tego ruchu. Głównie zajmował się agitacyą prawosławną, przybyły z Rosyi mnich Aleksiej, a z jakim skutkiem, dowodzi fakt, że pod jego wpływem w północno-wschodniej części Węgier kilka gmin zerwało stosunki z cerkwią i przeszło tłumnie na prawosławie. Oprócz Aleksieja byli podobno jeszcze i inni agitatorowie, ale rząd węgierski, uważając Aleksieja za najniebezpieczniejszego, przeciw niemu głównie się zwrócił i wytoczył mu dochodzenie. Między innemi zarzucają mu, że odprawia bez wiedzy władz obrzędy prawosławne i wygłasza kazania, w których szerzy cześć dla cara i namawia poddanych węgierskich do urządzania zbiorowych wycieczek do Kijowa. Razem z Aleksiejem wytoczono śledztwo tym chłopom, którzy przyjęli prawosławie. Rządowi węgierskiemu idzie bardzo o to, aby nie dopuścić do dalszego rozszerzenia się prawosławia na Węgrzech. Mają oni przykład na Galicyi, do czego zmierza ta agitacya, chcą więc zawczasu temu zapobiedz.

**Poseł Kovacs w więzieniu.** Sąd karny w Budapeszcie polecił zatrzymać sprawcę zamachu w Sejmie węgierskim na prezydenta hr. Tiszę, posła Kovacsa, w więzieniu śledczem.

# KRONIKA.

**Z dzisiejszym numerem kończy się pierwsze półrocze — kto więc na trzeci kwartał nie ma zapłaconej prenumeraty, następnego numeru już nie otrzyma. Prosimy przeto o szybkie odnowienie prenumeraty.**

---

**Przedstawienie amatorskie w Mędrzechowie.** Z Mędrzechowa w pow. dąbrowskim piszą nam: Po kursie gospodyń wiejskich, który odbył się w sezonie zimowym, ożywiła się nasza wioska. Zawiązano kółko gospodyń, zreorganizowano straż pożarną, a dzięki niestrudzonym zabiegom p. Jana Nowaka, kierownika tutejszej szkoły, doszło do skutku przedstawienie amatorskie sztuki p. t. »Przyjaciele ludu«. Aktorzy, składający się z wiejskich parobczaków i dziewcząt, od chwili, gdy im p. Nowak myśl przedstawienia podsunął, z szczerym zapałem wzięli się do pracy. Pierwszy ich występ dowiódł, że materyał objęli pamięciowo, w rolę się wżyli, że wiele musieli poświęcić czasu na opracowanie ról, zamiast wałęsać się wieczorami, że skrzętnie korzystali ze wskazówek kierownika, bo z zadania wywiązali się znakomicie. Doskonale grał St. Misiaszek rolę kowala, a Stan. Fijał, mimo że miał najdłuższą rolę, dzielnie się spisał.

Treść sztuczki umoralniająca i ucząca wiele ściągała licznie gości i ze wsi sąsiednich. Odbyły się przedstawienia dla ludu, dla dzieci szkolnych z Grądów i Kupienina i inteligencyi, która mimo niepewnej pogody nawet z dalszych stron przybyła. Pierwsza udana próba zachęci pewnie młodzież Mędrzechowa do dalszych występów, skupi ją koło p. Nowaka, który trudnościami, jakie w tem dziele natrafił, nie zraził się wcale, lecz poświęceniem, miłością i zapałem, zwalczył pietrzące się przeszkody. Szczęść Boże! w przyszłej pracy — czekamy!

**Śmiertelny upadek blacharza.** Niedawno temu zdarzył się w Krakowie nieszczęśliwy wypadek, jakie zresztą bywają dość częste w większych miastach, a spotykają rzemieślników pracujących na wysokich kamienicach. Są wprawdzie dla tych rzemieślników sposoby zabezpieczania się; każdy pracujący musi być przywiązany mocną linką. Najmniejsze niedopatrzenie przy umocowaniu linki czy to w dymniku, czy na kominie, słabo osadzony, zardzewiały hak czy gwóźdź, przetarcie w jednem bodaj miejscu linki, wszystkie te na pozór drobiazgi decydują o życiu człowieka, częstokroć żywiciela licznej rodziny. Tak i w Krakowie naprawiający rynnę blacharz, umocowany na lince, gdy ta się z jakiegoś powodu zerwała, spadł na bruk podwórza i zabił się na miejscu. Straszny ten wypadek przedstawia nasz obrazek.



(S. P.). **Burza gradowa** nawiedziła Grębów w powiecie tarnobrzeskim dnia 14 czerwca o godzi-

nie 4 popołudniu. Spadła nawałnica gradowa, która zniszczyła wszystkie plony jakie były w polu, obiła z liści sady, dachy pozrywała, wszystkie szyby w domach od strony zachodniej wytłukła. Burza gradowa nawiedziła też tego samego dnia gminę Cermin w pow. mieleckim, wyrządzając znaczne szkody.

(S. P.). **Grad.** W gminie Krzątka w powiecie kolbuszowskim dnia 9 b. m. spadł grad, który zniszczył wszystkie oziminy w tej gminie i w gminach okolicznych.

(P. S.). **Burza.** Dnia 14 czerwca szalała w pow. kolbuszowskim wielka burza, która wyrządziła znaczne szkody. Z domów zrywała dachy, łamała drzewa. Burzy towarzyszył wielki deszcz.

(W. T.). **Burza.** Dnia 14 b. m. gminę Płotycz w powiecie tarnopolskim i okolicę nawiedziła straszna burza. Dachy prawie wszystkich budynków doznały uszkodzenia, jedna stodoła zupełnie została wywrócona. Trzy olbrzymie topole obok dworskiej drogi obalone. Dzięki Bogu, że gradu nie było.

(J. K.). **Festyn.** Grono ludzi szlachetnych i dobrej woli z p. Zofią Ujejską właścicielką dóbr w Olesku na czele, powzięło przed kilku laty szczęśliwą myśl, ażeby we wsi Sokołówce w pow. złoczowskim, wznieść kościółek na chwałę Bożą, czcząc przez to pamięć wielkiego bohatera i wodza polskiego Stefana Czarnieckiego, który w tej wiosce dokonał chwalebnego żywota. Dziś kościółek ten stoi, brak tylko funduszów na jego wykończenie. Na ten też cel urządził komitet festyn w Białym Kamieniu, na który przybyło wiele gości ze Złoczowa i Oleska i z okolicznych wsi. Bogata loterya, koło szczęścia, muzyka, tańce, obfity bufet, jazda na rowerach, a w końcu ognie sztuczne uprzyjemniały ten festyn, który przyniósł znaczny dochód na wspomniany kościółek. Na tem też miejscu składa komitet wszystkim, którzy przyczynili się do uświetnienia tego festynu i pomnożenia funduszów, serdeczne »Bóg zapłać«.

(J. K.). **Świętokradztwo.** Niewyśledzony dotąd zbrodniarz wyciągnął świętokradzką dłoń po skarby kościoła w Białym Kamieniu w pow. złoczowskim. Pozabierał mianowicie wszystkie kielichy, monstrancye, wota wiszące nad obrazami i porozbijał puszki, zabierając z nich kilkadziesiąt koron. Czynu tego dopuścił się w dzień po odjeździe Arcybiskupa lwowskiego, spodziewając się, że wierni złożyli wiele datków. Po dokonaniu zbrodni w kościele, miał zamiar ograbić jeszcze cerkiew, lecz tam go spłoszono. Ludność miasteczka jest bardzo dotknięta tą obrazą miejsca świętego i powiada, że tego czynu dopuścił się jakiś żyd, którego miano widzieć kręcącego się około kościoła. I rzeczywiście przypuszczenia tego rodzaju, jak słychać, mają podobno uzasadnienie.

(W. T.) **Znalezienie zwłok zaginionej.** W Czystyłowie w pow. tarnopolskim w wigilię Bożego Narodzenia w nocy Paraska Krzyśków ze starszym synem poszła na pasterkę do kościoła parafialnego do Ptołyczy. W powrocie z kościoła z powodu ciemności jakoteż z powodu ciżby nie zauważył syn kiedy wyszła matka, dopiero po powrocie do domu spostrzegł, że jej niema. Ponieważ była od dłuższego czasu obłąkaną dotąd nie wiedziano, gdzie się podziała. Wszelkie poszukiwania były bezskuteczne, dopiero przed niedawnym czasem rybacy łowiąc ryby w rzece Seret znaleźli jej zwłoki.

**Dwa wyroki śmierci.** Przed sądem przysięgłych w Wadowicach odbyła się rozprawa przeciw włościankom z Wiśnicy Annie Bałysowej i Franciszce Srokosz o podpalenie i skrytobójcze morderstwo. Obie kobiety spoiły niedołężnego już zupełnie męża Srokoszowej i zaniosły do stodoły, którą podpaliły. Stodoła a w niej Srokosz zgorzała. Po zatwierdzeniu winy przez ławę przysięgłych trybunał skazał obie na karę śmierci przez powieszenie.

**Pożar młyna.** We wsi Krzesławicach koło Mogiły pod Krakowem wybuchł pożar w wielkim młynie parowym. Pożar powstał na drugiem piętrze i w krótkim przeciągu czasu objął całe zabudowanie. Zawaliły się sufity, a maszyny stopiły się w ogniu, Młyn ze znacznymi zapasami mąki i zboża w ilości około 40 wagonów (wartości przeszło 200.000 kor.) spłonął doszczętnie. Młyn był ubezpieczony w Tow. Wzaj. Ubezp. w Krakowie na kwotę 300.000 koron, a zapasy w Tow. Ubezp. w Tryeście i Tow. »Dunaj« w Wiedniu. W akcyi ratunkowej brały udział miejscowa straż pożarna, straże pożarne wsi okolicznych i wojsko z fortu krzesławickiego.

(W. L.). **Nagła śmierć.** Nagłą śmiercią zmarła dnia 3 czerwca w Brzozowie, wieśniaczka Antonina Chaiber z gminy Blizianki z powiatu strzyżowskiego. W drodze do miasta Brzozowa gdzie się udała na targ, ciężko zachorowała, i wnet zgasła. Zmarła osierociła 4 małych dzieci.

**Nagły zgon.** W przysiółku Marki należącym do gminy Dąbrowicy w powiecie tarnobrzeskim zmarł nagle dnia 20 czerwca b. r. niejaki Jan Jaskot liczący lat około 60 który tego dnia nie czując się chorym pracował około ogrodzenia własnego domu.

**Śmierć po pijanemu.** Z Frysztatu na Śląsku donoszą nam, że w tych dniach wybrała się pewna wdowa do miasta celem poczynienia zakupów. Należała ona do rzędu niewiast, które oddawały się pijaństwu. Wybierając się z domu, popiła sobie na »kuraż«, tym razem jednak nieco mocniej pociągnęła, dzięki czemu wpadła do młynówki i w niej znalazła śmierć.

**Masowe zatrucie.** W Haju w pobliżu Opawy na Śląsku austryackim, rzeźnik Bilowsky sprzedał mięso krowy, która była chora. Po spożyciu mięsa zachorowało natychmiast 70 osób, wijąc się w strasznych boleściach. Rolnicy Józef i Antoni Ślezakowie i dwoje dzieci umarło. Wszystkich innych chorych wzięto pod opiekę lekarską. Zostało w drożone ostre postępowanie karne przeciw Bilowskyemu.

**Rozszalały wół.** Niedawno temu w Warszawie z tamtejszej rzeźni miejskiej uciekł przeznaczony na zabicie wół. Rozjuszone zwierzę zaczęło tratować przechodniów. Najpierw wół rzucił się na 9-letnią dziewczynkę i uderzył ją rogami w głowę tak, że padła trupem. Pędząc dalej, pobódł w piersi na tej samej ulicy 23-letnią kobietę.



Powstał straszny popłoch. Przechodnie uciekali przed rozjuszonem zwierzęciem, kryjąc się po bramach domów. Wezwano policyę celem ujęcia rozszalałego zwierza. Przybyli wkrótce strażnicy.

Usiłowano zastrzelić go z rewolwerów, strzały okazały się jednak za słabe. Użyto więc karabinów, których kule położyły wreszcie trupem niebezpiecznego wołu.

**Przywrócenie wzroku.** W »Gońcu Częstochowskim« czytamy, iż przed paru dniami przybyła do Częstochowy pielgrzymka z pod Brześcia Litewskiego w liczbie 150 osób, wśród których jest niejaki Filip Majewski, lat 58 liczący, włościanim z pow. wołkowyskiego, który przybywa na Jasną Górę obecnie w dowód wdzięczności za doznaną łaskę od Najświętszej Maryi Panny. Majewski, jak twierdzi proboszcz parafji Wysokie Litewskie ks. Kaczyński oraz jego liczni znajomi, od 6 lat nie widział na oczy, podczas pielgrzymki roku ubiegłego w tym samym czasie, był prowadzony jako zupełny ślepiec. Podczas pobytu w klasztorze Jasnogórskim błysnęło mu słońce, o własnej sile i bez pomocy innych począł chodzić, a w dwa tygodnie po powrocie do domu stanął zupełnie zdrów do pracy, mimo, że sześcioletnie usiłowania lekarzy z Białegostoku nie dawały żadnych wyników.

**Skazanie banderyi włościańskiej.** Na przyjęcie ks. biskupa kujawskiego Stanisława Zdzitowieckiego, podczas wizytacyi w dniu 1 maja r. b. ze wsi Zielenciny, w gminie Rząśnia, w powiecie radomskowskim w Królestwie Polskiem wyruszyła banderya konna. Wszystkich uczestników malowniczego orszaku skazano z rozporządzenia gubernatora piotrkowskiego, na 2 tygodnie aresztu każdego, lub na zapłacenie grzywny po 25 rb. Kierownika banderyi zaś skazano na miesiac aresztu lub zapłacenie 50 rubli. Oddanie więc hołdu biskupowi przez katolickich włościan Polaków uważa rząd rosyjski za karygodne!

**Głód w Rosyi.** Jak donoszą pisma rosyjskie, na wielkich obszarach Rosyi wschodnlej — w obecnych czasach przednowku — szaleje znowu głód. Głód sroży się, zwłaszcza w Rosyi azyatyckiej, a miliony ludzi dotkniętych jest straszną klęską. Zamożne warstwy społeczne urządzają teraz często na rzecz głodnych tak zwane »dni kwiatowe«, podczas których na ulicach miast panie lub panowie sprzedają kwiatki na rzecz głodnych. W tej akcyi ratunkowej uczestniczą także wielcy książęta. Oprócz kwiatów sprzedają też publiczności na rzecz dotkniętych głodem, świeże kłosy żyta.



Na naszym obrazku przedstawiona jest scena, gdy jeden z wybitnych obywateli rosyjskich wraz z żoną, sprzedają te kłosy w jednem z mniejszych miasteczek pomiędzy miejscową inteligencyą i urzędników.

**100 ofiar katastrofy.** W gubernii saratowskiej, w głębokiej Rosyi wydarzyła się w pewnej wsi katastrofa w fabryce kości. Składano tam kości pod wysoką, szeroką ścianą. Naraz ściana się zawaliła i zasypała 100 pracujących pod nią kobiet. Wraz ze ścianą zwaliły się i kości. W jedną masę pomieszały się: cegły, szkielety wielbłądów, koni, wołów, a pod tem wszystkiem leżały trupy zabitych robotnic. Z pod gruzów wydobyto 30 zwłok. Reszta kobiet odniosła rany.

**Olbrzymi pożar.** Na Rusi w powiecie słuckim spłonęła do szczętu wieś Ewangielowicze, składająca się z 86 domów mieszkalnych i 96 zabudowań gospodarczych. Ogień strawił cały dobytek włościański, dużo koni i nierogacizny. Straty wynoszą 69.626 rubli. Przyczyną pożaru jest podobno rozmyślne podpalenie jednej z chat przez jakąś włościankę.

**Z doli ludu polskiego na obczyźnie.** Straszny obraz odsłonił się w procesie sądowym o pobicie dziewczyny polskiej przez bogatego Prusaka barona Weichs w Westfalii. Oskarżony administrował dobrami swego ojca i już raz dostał za pobicie parobka 5 marek kary. Sąd ławniczy w Maschede skazał barona za znęcanie się nad 16 letnią Maryą Mazurek na 300 marek kary. Przeciw temu wyrokowi założył rewizyę oskarżony i zastępca prokuratora. Przed sądem rozpatrywano sprawę jeszcze raz. Służąca Mazurek przyjęła 12 listopada obowiązek u oskarżonego na rok, lecz już d. 15 opuściła służbę. Oskarżony, dowiedziawszy się o zniknięciu Mazurkówny, wsiadł na konia, dogonił ją i wezwał do powrotu. Mazurkówna odparła, że służba jest jej za ciężka, jedzenie niedobre. Na wezwanie barona policya odstawiła dziewczynę z powrotem. Wtedy zamknął się baron z dziewczyną w pokoju, zaczął ja bić pięścią po twarzy i harapem po ciele tak, że na ręce utworzyła się otwarta rana, a głowa i plecy okryte były okropnemi siniakami. Przez tydzień leżała ona w szpitalu, a przez 5 do 6 tygodni odczuwała ból, wskutek czego była niezdolna do pracy. Prokurator uważa czyn oskarżonego jako ciężkie znęcanie się nad bezbronną dziowczyną i żąda miesiąca więzienia lub 1500 marek kary przy łagodzących okolicznościach. Sąd skazał barona na 600 marek kary.

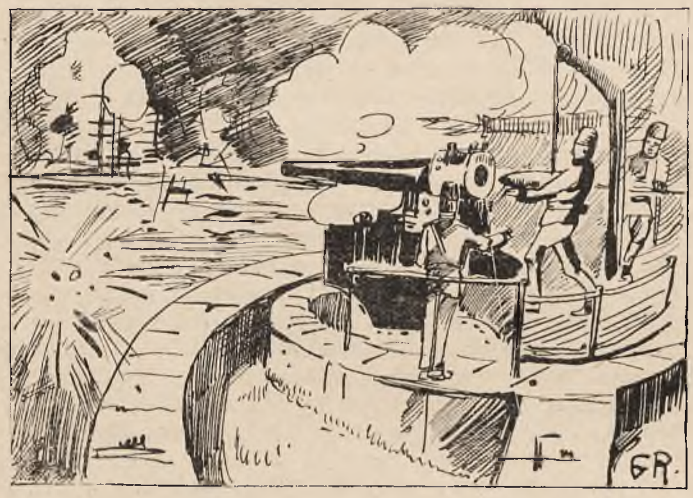
**Zemsta na pastorze.** Niezwykle zagadkowa przygoda spotkała jednego z zamieszkałych w Londynie pastorów angielskich. Pastor ten znikł nagle w zeszłym tygodniu i przepadł bez wieści. W parę dni powrócił do domu, lecz w jakimże stanie! Ubranie zniszczone, na pół martwy, a na czole wypalony znak — litera »H«. Oto, co opowiadał pastor o swej przygodzie. W dzień, którym znikł bez wieści, udał się rano do kościoła, gdzie miał mieć kazanie. Przy samem wejściu zbliżyli się doń dwaj ludzie. Oznajmiwszy pastorowi, że jego żonie zdarzył się jakiś wypadek, wyrazili gotowość odwiezienia go na miejsce wypadku samochodem. Pastor przystał i już w samochodzie zasnął pod wpływem środka usypiającego, zastosowanego doń przez nieznajomych. Kiedy się ocucił, był w ciemnej piwnicy ze związanemi rękami i nogami. Stąd wyniesiono go po chwili do wielkiej sali. Tam znajdowali się ludzie zamaskowani, którzy, nie szczędząc uderzeń, zadawali pastorowi szereg pytań. Wreszcie wypalili mu na czole literę »H«. Pastor zemdlał z bólu i gdy znów się ocucił, znalazł się na przedmieściu Londynu, w pobliżu niezamieszkałego domu. Rannego znalazł na drodze pewien woźnica i odwiózł do domu. Policya sprawców jeszcze nie wykryła. Zdaje się, że chodzi tu o jakąś zemstę sekty religijnej i że litera »H« ma oznaczać odszczepieńca — »heretyka«.

**Zabawy zimowe w czerwcu.** W miejscowości alpejskiej Simone, we Włoszech północnych, spadł obfity śnieg, pokrywając ziemię warstwą grubości 30 centymetrów. Bawiący w Simone liczni letnicy skorzystali z tej nagłej zmiany pory roku i bawią się zjeżdżaniem z gór na saneczkach, jak w zimie.

**Ofiara badań naukowych**. Pewien profesor w Parmie we Włoszech czynił doświadczenia z chorobą »śpiączki« na zwierzętach. Jak wiadomo choroba ta panuje w krajach gorących. Przed dwoma miesiącami zakaził się widocznie zarazkami śpiączki, zaczął bowiem wśród objawów tej choroby niedomagać. Ponieważ stan jego pogarszał się z każdym dniem, więc asystenci zbadali krew chorego i znaleźli w niej zarazki śpiączki. Profesor po odpowiedniem leczeniu zaczyna przychodzić do zdrowia.

**Tyfus w armii włoskiej**. Gazety włoskie donoszą na podstawie listów żołnierzy, że wśród wojska włoskiego w Dernie w Trypolisie szerzy się tyfus. Wszystkie pułki mają być objęte tą zarazą. W 35 pułku piechoty miało umrzeć dotychczas sto ludzi.

**Niezdobyta cieśnina morska.** Z powodu nieudałego ataku floty włoskiej na cieśninę Dardanelską, gazety angielskie zajmują się żywo dociekaniem, czy i jak dałby się przeforsować wbrew woli Turcyi i jej nadbrzeżnych fortów, przejazd przez tę cieśninę, uważaną ogólnie za niezdobytą.



Dardanele bronione są z obu stron przez wyniosłe forty, o potężnych murach, opatrzone w działa najgrubszego kalibru, zdolne zasypać nieustannym ogniem wąską cieśninę. W takich warunkach, jak wszyscy znawcy wojskowi zgodnie stwierdzają, przejazd wrogiej floty przaz Dardanele, jest niemożliwy. Obrazek nasz przedstawia obronę tureckich twierdz na wypadek, gdyby okręty nieprzyjacielskie wpłynęły w cieśninę dardanelską.

**Pod wpływem manii prześladowczej.** W mieście włoskiem Ferrarze dwie milionerki tamtejsze, pani Zanzi i jej córka, są obecnie bohaterkami niezwykłego zdarzenia. Obie kobiety, żyjące samotnie w pięknym pałacu, uległy w tych dniach nocą obłędowi prześladowczemu i wpadły do pobliskiej kawiarni, prosząc o schronienie. Właściciel kawiarni, znający milionerki, zdziwił się temu żądaniu, ale, pragnąc uspokoić wzburzone kobiety, pozwolił im zamknąć się w osobnym pokoju. Znalazłszy się tam, matka z córką zabarykadowały drzwi meblami i nie wychodziły stamtąd do rana, a następnie przez cały niemal dzień następny. Przywidziało im się, że ktoś chce je zamordować. Dopiero nalegania policyi która przed drzwi przybyła i głód, spowodowały że kobiety powróciły do siebie.

**Zabawna walka z palaczami tytoniu w Ameryce.** W mieście Kansas w stanie Missouri, przyszło do niezwykłych scen z powodu walki między zarządem tramwajowym a fabrykantami cygar. Zarząd miejski wydał pozwolenie na palenie tytoniu w tramwajach, natomiast zarząd tramwajowy opiera się temu, nie chcącutracić dwóch trzecich gości, którzy nie chcą jeździć wozami tramwajowymi obok palących cygara. Zarząd tramwajowy wydał zatem polecenie, by konduktorzy wstrzymywali wóz tramwajowy z chwilą, gdy ktoś z jadących zapali cygaro. Z drugiej strony znowu fabrykanci cygar wynajęli kilkuset chłopaków, którzy wsiadają do tramwajów i zapaliwszy cygara, wypuszczają kłęby dymu. W rezultacie tramwaje stoją w całem mieście, a walki na pięści między jadącymi są na porządku dziennym.

**Straszna burza** szalała w Ameryce na zachodnim brzegu rzeki Missouri i poczyniła olbrzymie szkody. Zginęło 20 ludzi. W mieście Johnville zapadła się dzwonnica w kościele katolickim podczas nabożeństwa. Trzy osoby zabite, wśród nich ksiądz, który po pierwszem przerażeniu wezwał wiernych, aby opuścili kościół, sam zaś pozostał, aby rannym udzielić pociechy religijnej.

**Przemyślna wdowa** Z powodu zastrzeżenia, uczynionego w testamencie milionera Astora, który zginął na zatopionym parowcu »Titanic«, a który cały swój majątek zapisał żonie pod warunkiem, że drugi raz za mąż nie wyjdzie, jedna z gazet angielskich opowiada o fakcie podobnym, który wziął obrót nieprzewidziany przez spadkodawcę. Pewien londyński ajent giełdowy, który, majac lat 70, ożenił się z młodą panną, umierając, zapisał jej 2 miliony funt. szterlingów, pod warunkiem, że do końca życia zatrzyma jego nazwisko; w razie przeciwnym pieniądze miały przejść na synowca. I cóż uczyniła wdowa? Wyszła... za synowca. Wybornie się urządziła: zatrzymała i nazwisko i miliony.

**Podróż naokoło ziemi w 16 minutach**. Oczywiście chodzi tu o podróż depeszy telegraficznej, a nie o samochód lub samolot. Telegram miał następujące brzmienie: »Ta depesza ma zrobić podróż naokoło świata »Times«, »Nowy Jork«. Depesza nadana była punktualnie w Nowym Jorku w Ameryce o godz. 7 wieczorem, a o godzinie 7 minut 16 i sekund 30 nadeszła już z powrotem Przeszła ona przez 17 stacyj i odbyła 28.613 geograficznych mil.

**Sekty religijne wśród murzynów**. Dotychczas przypuszczano, że sekciarstwo religijne jest obcem rasie czarnej, lecz wykrycie przez policyę w stanie Luiziana religijnej tajnej sekty murzynów dowodzi, że sekciarstwo czarnych nietylko istnieje, ale i odznacza się niezwykłą dzikością. Naczelnicą wykrytej sekty była niezwykle piękna piętnastoletnia dziewczyna Klementyna Bornalée. W bardzo krótkim czasie »prorokini« utworzyła liczną sektę z murzynów miejscowych. Główną cechą tej sekty były ofiary z ludzi. Podobno od chwili założenia sekty do czasu jej wykrycia zamordowano, na żądanie prorokini, przeszło 36 osób, samych murzynów. Badana przez sędziego śledczego oświadczyła, iż dla dobra rasy czarnej niezbędne jest, aby wszystkie rodziny murzyńskie, składające się conajmniej z pięciu członków zostały wymordowane. Zabójstw dokonywano zawsze nocą; ofiarowanego lub ofiarowaną odurzano napojami i następnie ucinano głowę.

**Ile zjadają dziennie wojska europejskie**? Stan czynny armii sześciu największych państw europejskich podczas pokoju wynosi 3 miliony głów. Otóż na wyżywienie tych olbrzymich zastępów potrzeba dziennie 45 tys. centnarów chleba, 30 tys. cent. mięsa 14 tys. cent. konserw mięsnych, 6 tys. cent. ryżu, 1800 cetn. słoniny i innych tłuszczów, 1200 cent. soli, 1860 cent. cukru, 1440 cent. kawy i 7500 hektolitrów wina (we Francyi i we Włoszech). Do tych liczb doliczyć jeszcze trzeba ziemniaki i jarzyny. Utrzymanie tych wojsk na stopie wojennej pochłaniałoby dziennie 200 milionów franków. Zatem, w razie ogólnej wojny europejskiej, w której brałyby udział wszystkie

mocarstwa, potrzebaby było jedynie na wyżywienie tych armii miesięcznie 6 miliardów franków.

**Dzicy monarchowie.** Pisaliśmy już o półdzikich władcach różnych plemion w Azyi i Afryce.



Dzisiaj podajemy obrazek, przedstawiający w postawie stojącej, w mundurze, władcę jednego ze szczepów środkowej Afryki, zaś postać siedząca, w hełmie z wysokim pękiem piór, to król pewnego szczepu w południowej Afryce.

**Jedenaście milionów żydów.** Według urzędowych zestawień cyfrowych, ilość żydów na całym świecie wynosi 11,081,000. Z tej liczby przypada na Europę 8,748,000, na Amerykę 1,556,000, Afrykę 354 tys., Azję 242,000, Australię 17,000. Na poszczególne kraje europejskie przypada: Rosja 5,100,000, Austro-Węgry 2,100,000, Niemcy 600,000, kraje bałkańskie 400,000, Belgja i Holandja 105,000, Anglja 90,000, Francja 100,000, Włoch 40,000, Galicja liczy prawie milion żydów, Królestwo Polskie 1,800,000 żydów, z tego sama Warszawa 300 tysięcy. Warszawa zajmuje tedy pod względem ilości mieszkańców żydowskich drugie miejsce po Nowym Jorku, liczącym 800,000 żydów. W innych miastach liczby ludności żydowskiej są następujące: Wiedeń 180,000, Budapeszt 160,000, Berlin 100,000, Londyn 80,000, Paryż 50,000, Jerozolima 40,000 Kraków 30,000. Największemi bezwzględnie gminami żydowskiemi w Austro-Węgrzech są Wieden i Budapeszt. Rozwój ludności żydowskiej w Budapeszcie w ostatnich 15 tu latach postępował szybciej niż w Wiedniu. W Budapeszcie mieszka 20% wszystkich żydów węgierskich, gdy w Wiedniu 12.5% ogółu żydów, zamieszkałych w Austryi. Z krajów bałkańskich przypada na Serbię 5.729, na Bułgarję 33,661 żydów, między nimi zaś 3,437 obcokrajowców (1,726 mężczyzn, 1,711 kobiet). W Tunisie w Afryce mieszka 62,000 żydów, rozproszonych po 20 miastach i 12 wsiach; pięć szóstych z tego przypada na pięć wielkich miast: Tunis 40,000, Bizerta 1,200, Djerba 4,000, Susa 3,500, Sfaz 3,200. Są to przeważnie drobni kupcy, rzemieślnicy i robotnicy.

**Zakaz sprzedaży zapałek fosforowych.** Z dniem 1-ym lipca wchodzi w Austryi w życie zakaz sprzedaży zapałek z białym fosforem. Tymczasem kupcy austryaccy, którzy sprowadzili wielkie zapasy tego towaru z Węgier, zwrócili się do rządu z prośbą o przedłużenie terminu. Rząd stanowczo odmówił, powołując się na to, że już dawniej ogłosił, iż od dnia 1 go lipca nie dopuści do sprzedaży tych zapałek.

**Wychodźtwo do Kanady.** W celu dokładnego zbadania położenia na rynku pracy w Kanadzie i tamtejszych stosunków kolonizacyjnych, wysyła Polskie Towarzystwo Emigracyjne w podróż informacyjną do Kanady swego delegata w osobie ks. Jana Taranowicza, katechety gimnazyalnego w Stanisławowie. Zadaniem ks. Taranowicza, który już w zeszłym roku podróżował po Ameryce północnej i oddawna interesuje się żywo sprawą wychodźczą, będzie zbadanie na miejscu organizacyi pośrednictwa pracy dla robotników przemysłowych i rolnych. Od wyników tej wyprawy zależeć będzie, czy i z jakim zakresem działania otworzy Polskie Tow. Emigracyjne swą filię w Kanadzie.

**Księga Pamiątkowa drugiego Kongresu Maryańskiego** polskiego i zarazem wiecu katolickich stowarzyszeń polskich, odbytego w Przemyślu w dniach 26, 27, 28 sierpnia 1911 r. — wyszła z druku i jest do nabycia za cenę 4 kor. Zamówienia przyjmuje kancelarya Konsystorza łać. w Przemyślu.

## Odpowiedzi Redakcyi.

PP.: Adam Jesionek w T.: Za nadesłane wiersze dzięki. — Jan Małkowicz w G.: Rzeczy nadesłane przez Pana były w »Roli«. St. Karasiński w K.: Nadesłany artykulik umieścimy. — Jan Styś w Z.: Numera od Nowego Roku posiadamy i po otrzymaniu należytości odwrotnie wyślemy. — Antoni Płaza w L.: Powieść p. t. »Przez Pogrom« wyjdzie w odbitce książkowej. — Józef Kobylański w C.: Artykuł będzie. List jeżeli zaginie, trzeba reklamować na poczcie. — Marya Wawrzyk w P.: Artykuł otrzymaliśmy i umieścimy. — Franciszek Zydroń w W.: Otrzymaliśmy. A czemu Pan przysłowia literowego nie rozwiązał? Wiersze zwykle długo leżą, gdyż ich mamy wielką ilość, za to artykuły treści poważnej prędko bywają drukowane. — Czytelnik z Bośni. Dziękujemy za życzliwe słowa, ciesząc się, że polscy włościanie w Bośni chętnie czytają »Rolę«. O przyjęciu kolonistów polskich przez ministra Bilińskiego piszemy w rubryce »Z tygodnia«. — K. Mrozek z D.: Należy się 20 hal. — Jan Turczyk z Z.: Należy się 30 hal. — Ks. Antoni Sypowski z K.: Za życzenia serdecznie dziękujemy. — Stanczykiewicz z Ł.: Nie wysłaliśmy ostatniego numeru, z powodu otrzymania z powrotem numeru »Roli«, wysłanego Panu, z dopiskiem »nieprzyjęto«. Obecnie wysyłamy. — Walenty Pasierb w Cz.: Dziękujemy. Oświadczenie uważamy za zbyteczne.

### Potwierdzenia prenumeraty.

PP.: Szymon Kuźniar z H. 4 K. — Andrzej Lubowiec z P. 2 K. — Janos Jurkowiecki z B. 2 K. — Franciszek Nowak z R. 2·50 K. — Paweł Deszcz z L. 3.91 K. — Kanty Gańcarczyk z P. 2 K — Ignacy Mondalski z U. 2 K. — Władysław Zając z B. 2 K. Franc. Gołuchowa z R. 2 K. — Władysław Pluta z W. 2 K. — Józef Gil z W. 2 K. — Jan Pis z R. 2 K. — Jura Kanty z R. 2 K. — Stanisław Solowski z O. 2 K. — Ks. Sypkowski z R. 2·20 K. — Franciszka Krylowic z S. 2 K. — Ludwik Sznapka z M. z M. 2 K. — Ludwik Babik z Z. 2 K. — Jan Pląder z B. 2 K. — Szczepan Orzech z K. 2 K. — Franciszek Fill z K. 2 K. — Andrzej Konieczny z L. 2·70 K. — Paweł Śliwa z K. 2 K. — Jakób Postrożny z Z. 2 K. — Franciszek Łakota z W. 2 K. — Jan Stachura z Z. 2 K. — Grzegorz Chymczuk z Z. 1 K. — Walenty Pieńczak z D. 2 K.

**Ceny zboża** na targu Kleparskim w Krakowie w d. 25 czerwca

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| Pszenica | Kor. | 11 20 | do | 11·50 | za 50 kg. |
| Żyto | „ | 10·15 | „ | 10·75 | „ |
| Jęczmień | „ | 9.60 | „ | 10·50 | „ |
| Owies | „ | 10·25 | „ | 11 — | „ |
| Otręby pszenne | „ | 7·60 | „ | 7·80 | „ |
| Otręby żytnie | „ | 7 70 | „ | 7 90 | „ |

**Ceny bydła** na targowicy krakowskiej w dniu 25 czerwca:

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| Buhaje | Kor. | 140 | do | 369 | za sztukę |
| Woły | „ | 300 | „ | 500 | „ |
| Krowy | „ | 153 | „ | 360 | „ |
| Jałówki | „ | 120 | „ | 320 | „ |
| Cielęta | „ | 25 | „ | 71 | „ |
| Owce i kozy | „ | — | „ | — | „ |
| Świnie bita waga) | | 160 | „ | 172 | za 50 kg. |

# Zagadki do nagrody.

## 1. TAJEMNICZY BILET.

| |
|---|
| Karol Torredi |

Odgadnąć zajęcie tej osoby.

## 2. SZARADA.

(Ułożył St. Karasiński).

Pierwsze drugie dla zabawy czasem popijamy,
Piją to mężczyźni ba, nawet i damy,
Drugiem trzeciem z ogonkiem to się zachwy-
[camy
Gdy tę całość bardzo ładną w rękach swych
[trzymany.

## 3. ŁAMIGŁÓWKA.

Kto le, te, bre, lę, ma, cam, coś, lę, do, czy, Ro, ja, mu, wo, tać, po, go.

Ułożyć dwuwiersz.

## 4. SZARADA.

(Ułożył Andrzej Dziedziak).

Pierwsza, to jest samogłoska,
Druga, to zwierzątko małe,
Okryte pancerzem całe,
Całość, to jest rzecz szelmowska,
Bo człowieka otumani,
I jeden drugiego zrani,
Pałką, nozem, z płotu kołem
I znaczy go krwawym czołem
Całość wstecz zaś przeczytana,
Tem bywa zbrodnia karana.

## 5. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożył St. Karasiński).

. koń
. eże
. el
. ero
y ...
. efir
. ora
. rfa
. oc
. ntoś
. rna
. ora
. nna
. lika
. ogi
. nglia
. ent
. rkan

Miejsca oznaczone kropkami uzupełnić! Tak utworzony rząd da nam trzy hasła polskie.

## 6. PRZEPLATANKA.

(Ułożył Jerzy Ciosk).

Niech, bę, do, zna, ni, ka, żdy, a, w, i, w, i, dem, peł, sta, kaź, za, swe, nie, da, do, nie, do, brze, dzie, mu.

Ułożyć dwuwiersz.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 6 lipca 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 25 »Roli«: 1. Szarada: **Prawda.** 2. Szarada: **Parasol.** 3 Szarada: **Porzeczka.** 4. Łamigłówka: **Gdyby koza nie skakała, toby nóżki nie złamała.** 5. Szarada: **Laska.** 6. Szarada: **Sosna.**

Dobrego rozwiązania wszystkich zagadek nikt nie nadesłał.



Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.



Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bazzara.
**Drukarnia „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.**